

Bay
Matthews

**GWIAZDKA
DLA CAROLE**

*skan: czytelniczka
przerobienie: AScarlett*

Przepis Bay Matthews

CIASTECZKA ŚWIĄTECZNE

2 jajka

1 kg daktyli

0,5 kg orzeszków

0,25 kg czereśni kandyzowanych (pół na pół czerwonych i białych)

0,25 kg kandyzowanego ananasa

2 1/2 szklanki mąki

1 1/2 szklanki cukru

1 szklanka masła

1 łyżeczka od herbaty proszku do pieczenia

1 łyżeczka od herbaty soli

1 łyżeczka cynamonu

Rozgrzać piec do 200 stopni.

Rozdrobnić owoce i orzechy. Wymieszać i odstawić. Przesiać razem mąkę, sól, proszek do pieczenia i cynamon.

Utrzeć masło. Dodać cukru. Ubijać, aż masa stanie się gładka. Dodać jajka i znów ubijać. Dosypać mąkę. Dokładnie wymieszać na jednolitą masę. Dodać owoce i orzechy. Wymieszać.

Na nie wysmarowanej blasze układać łyżeczką niewielkie porcje. Piec 10 minut. Z tej porcji otrzymać można sto pięćdziesiąt do stu siedemdziesięciu ciasteczek.

Rozdział pierwszy

Piątek, 25 listopada

Carole Chapman włożyła długie futro z jagniąt tybetańskich, wyszła ze swojego sklepu i szybko podążyła Pierre Bossier Mall, wymijając setki przechodniów, których gorączkowy pośpiech uświadomił jej, że dzień następujący po Święcie Dziękczynienia jest rzeczywiście szczytem świątecznych zakupów.

Pora cudów. Ha! Największy cud, to zachować w tym czasie zdrowy rozsądek. Carole bolały stopy, profesjonalny uśmiech zastygł na jej twarzy i pomyślała, że jeśli jeszcze raz usłyszy: „Święty Mikołaj przybywa do miasta”, to chyba zacznie wyć. Starła się ignorować fakt, że przez najbliższy miesiąc dokoła będą rozbrzmiewać tylko kolędy i że musi na święta zmienić dekorację swego sklepu „Mężczyzna w Każdym Calu”.

Jednakże już za długo odkładała to zniechęcające zajęcie. Na całym rynku tylko jej sklep nie był jeszcze przybrany girlandami, obwieszony wstążeczkami i błyskotkami.

Korpulentny jegomość wpadł na nią próbując wyminąć parę nastolatków pogrążonych w „bardzo poważnej dyskusji”.

- Przepraszam - mruknął z obleśnie wesołym uśmiechem, cofając się i od nowa torując sobie drogę w tłumie.

Carole nie zwróciła uwagi na przeprosiny. Zbyt była zajęta czytaniem napisu na jego bluzie: „Nadchodzi grubas”.

- Nie chciałabym tego mówić głośno - mruknęła pod nosem - ale już nadszedł. - Powlokła się w stronę wyjścia z pasażu, starając się unikać wesołego zgiełku kupujących. Cholera. Musi coś zrobić z tym swoim usposobieniem.

Wyszędłszy odetchnęła głęboko i odwróciła głowę. Noc była chłodna, a srebrzyste gwiazdy świeciły jasno, jak migotliwe świąteczne dekoracje na tle ciemnego aksamitu zimowego nieba.

Dekoracje, pomyślała ponuro. Tak, właśnie dekoracje są jej potrzebne.

Przy odrobinie szczęścia w sklepie „Papierowy szałas” dostanie jeszcze jakieś ozdoby choinkowe, a to przecież nie dalej jak dwie przecznice stąd. Nagle zdała sobie sprawę, że wzdryga się na samą myśl o tym, że ma wsiąść do rozgrzanego samochodu i oddychać jego dusznym „zapuszkowanym” powietrzem. W każdym razie teraz, w tę wspaniałą noc. Pójdzie pieszo. Cóż z tego, że na ulicach Bossier City nie ma już pieszych, że jest wół do dziewiątej i że może ją ktoś zaczepić.

Carole spojrzała na ulicę. Była jasno oświetlona i w dalszym ciągu ruchliwa. Potem rzuciła okiem na swoje wysokie obcasy, i uświadomiła sobie, jak bardzo bołą ją nogi. Mimo to, pomyślała, pójdzie.

Otuliła się futrem jeszcze ciaśniej i poszła przez parking w stronę wielkiego kościoła baptystów. W tej okolicy będzie z pewnością bezpieczna. Poza tym, jeżeli ktoś tylko spróbuje ją zaczepić, zacznie śpiewać „Święty Mikołaj przybywa do miasta”. To go spłoszy.

Boże Narodzenie. To tylko handlowy show obliczony na wydłużenie pieniędzy od naiwnych. Nie przeczy, że to pomaga w interesach, ale osobiście uważa to wszystko za farsę. Ludzie wyrzucają pieniądze, których nie mają, naruszają w poważnym stopniu swoje konta bankowe i potem przez cały rok płacą za tę jednodniową przyjemność.

A może tym, których się kocha, należy okazać uczucie poświęcając im codziennie trochę uwagi, zamiast nadrabiać niedociągnięcia w stosunkach z ludźmi jednym rozrzutnym aktem sztucznej życzliwości.

Carole próbowała stłumić gorycz, którą powodowało wspomnienie kolejnych szesnastu świąt Bożego Narodzenia - w ciągu szesnastu lat! - spędzonych w przykościelnym domu dziecka. Co roku na gwiazdkę dzieci otrzymywały bezosobowe podarunki, z karteczką „Chłopiec” lub „Dziewczynka” i z oznaczeniem wieku. Owszem, prezentów było dużo, jednak rzadko który z tych „dobrych chrześcijan”, którzy je kupowali, zadał sobie trud, by

przyjść do domu dziecka, do tych bezimiennych, pozbawionych twarzy małych istot.

A zresztą, czy to ma jakieś znaczenie?

Przeszła przecznicę między pasażem a kościołem i zaczęła myśleć jedynie o oknach wystawowych swojego sklepu. Może kupić błyszczące czerwone i zielone torby na zakupy i kolorową bibułę do owijania i powrzucać do toreb swetry, krawaty i paski, tak, żeby aż się z nich wysypywały. A może...

Nagle ciuchutkie kwilenie przerwało tok jej myśli. Zatrzymała się i odwróciła głowę nasłuchując. Znowu! Delikatny płacz, jakby małego dziecka. Rozejrzała się wokoło. Nie było tam nic, poza pustym parkingiem wytwórni szkła. Nikogo za nią, nikogo przed nią, a po jej lewej ręce - tylko oświetlona scena Narodzenia Pańskiego przed kościelnym terenem zabaw. Nic szczególnego - tylko żłobek i zwykłe figurki świętego Józefa, Matki Boskiej, trzech mędrców i osła.

Zwabiona dziwnym odgłosem Carole ruszyła w kierunku placu zabaw. Jakże nienawidzi tej pory roku, pomyślała potykając się na nierównym gruncie w swoich pantoflach na wysokich obcasach. Pośliznęła się, znowu potknęła, mimo to jednak szła dalej. Scena Narodzenia przyciągała ją z siłą, której nie mogła się oprzeć. Gdy doszła do żłobka, dźwięk stał się głośniejszy.

A jeżeli złapie ją policja? - pomyślała nagle. - Czy zostanie aresztowana za wejście na cudzy teren? Za zakłócanie spokoju? Co miałyby na swoje usprawiedliwienie? „Przykro mi, ale miałam wrażenie, że słyszę płacz dziecka, dobiegający z tego żłobka”. Potrząsnęła głową przecząco i przeszła ostatnie parę kroków zbliżając się do drewnianego korytka napełnionego świeżą żółtą słomą.

Ku jej najwyższemu zdumieniu leżało w nim prawdziwe żywe niemowlę, owinięte w stary kocyk, zanoszące się płaczem. Carole patrzyła na dziecko nie zdając sobie sprawy, że wstrzymała oddech. A więc dobrze słyszała. Nie były to igraszki

wyobraźni. Wszystko to dzieje się naprawdę. Przez chwilę stała jak wryta, tak była zaskoczona.

Dziecko nie robiło wrażenia noworodka, ale było bardzo małe. Miało na główce czapeczkę zrobioną na drutach, a w fałdach kocyka, blisko główki, leżał smoczek. Ktoś porzucił dziecko! Zawrzała gniewem. Stał jej przed oczyma własny los dwuletniej dziewczynki. Kim trzeba być, żeby zostawić niemowlę na dworze w zimie!

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej Carole wzięła smoczek i pamiętając o tym, żeby podtrzymać główkę dziecka, chwyciła maleństwo w ramiona. Nie bardzo знаła się na dzieciach, ale wiedziała przynajmniej tyle, że smoczek służy do uspokajania maluchów. Delikatnie włożyła plastikową końcówkę w malutkie wygięte w podkówkę usteczka. Płacz ustał. Westchnęła z ulgą i spojrzała na ruchliwą ulicę, raz jeszcze uświadamiając sobie, że stoi w reflektorach oświetlających scenę Bożego Narodzenia. Ładna historia! Co sobie ludzie pomyślą! Uchyliła poły płaszcza i przytuliła dziecko do siebie, a następnie trzymając je w ramionach poszła do samochodu. Oczywiście dekoracje dla sklepu „Mężczyzna w Każdym Calu” będą musiały poczekać.

Zdecydowanym krokiem podeszła do auta, słysząc cichutkie odgłosy ssania. Z modlitwą dziękczynną na ustach otworzyła drzwi czerwonego CRX. Ogrzanie wnętrza samochodu nie potrwa długo. Przekreśliła kluczyk w stacyjce i nastawiła ogrzewanie na maksimum.

Z otworów nawiewnych popłynęło ciepłe powietrze i wtedy Carole położyła dziecko na siedzeniu. Natychmiast wypłuło smoczek i zaczęło krzyczeć z szeroko otwartą malutką buźką. Cały samochód wypełnił się rozdzierającym krzykiem. Carole ponownie próbowała włożyć maleństwu smoczek do buzi, ale dziecko wypływało go konsekwentnie.

Zagryzła dolną wargę zastanawiając się, co robić. Zmienić pieluszkę? Nakarmić małego? Nie miała ani pieluszek, ani mie-

szanki dla niemowląt, ale drogeria była po drugiej stronie ulicy, więc...

Bądź rozsądna, Carole. Nie możesz tak po prostu wziąć sobie dziecka. Pomyśl, co zrobić.

Wreszcie zrozumiała całą powagę sytuacji. Przecież nie ma pojęcia, jak się zajmować niemowlęciem. Jest trzydziestoletnią kobietą interesu i wie znacznie więcej o sprzedawaniu modnych ubiorów i dekoracji wystaw sklepowych niż o kupowaniu mieszanek i zmienianiu pieluszek.

To dziecko zostało porzucone - a zatem jest to sprawa, o której powinna zawiadomić policję. Ale sama myśl o tym, że miała by iść z maleństwem na policję, była dla niej nie do zniesienia. Co paru umundurowanych mężczyzn może wiedzieć na temat tego, jak obchodzić się z małym dzieckiem? Pewnie jeszcze mniej niż ona. Znów spróbowała wetknąć dziecku smoczek.

- Proszę Cię, Boże - mówiła gorączkowo, szeroko rozwartymi oczami ogarniając ulicę przed sobą - pomóż mi.

Kiedy odmawiała modlitwę, wzrok jej spoczął na tablicy na rogu ulic Texas i Airline. Jak daleko sięgała pamięcią, tablica ta wskazywała Centrum Medyczne Bossier. Aż zamrugała ze zdumienia na myśl o szczęśliwym zbiegu okoliczności.

Oczywiście. Szpital. Zaledwie o jedną przecznicę stąd, tam powinni zbadać dziecko. Bóg raczy wiedzieć, jak długo leżało narażone na nocny chłód i kiedy ostatni raz było karmione. Wrzuciła bieg i ruszyła z parkingu. Czemu nie pomyślała o tym wcześniej?

Godzinę potem Carole już nie myślała, że szpital był takim dobrym pomysłem. Dziecko zostało błyskawicznie zabrane do jakiegoś wewnętrznego sanktuarium i wezwano pediatrę. Carole myślała, że zostawi malca i będzie mogła sobie iść, tymczasem jednak ze szpitala zadzwoniono na komisariat i zażądano, żeby poczekała, dopóki nie przyjdzie policja, żeby ją przesłuchać.

Trwało to przynajmniej pół godziny.

- Czy to już wszystko, panie posterunkowy? - spytała ciężko zbudowanego łysiejącego mężczyznę, który notował, podczas gdy jego młodszy kolega flirtował z dziewczyną za biurkiem w izbie przyjęć. - Chciałabym się dowiedzieć, jak się mały czuje i iść do domu. Miałam dzisiaj ciężki dzień.

Policjant spojrział na Carole i uśmiechnął się znużony.

- Jeszcze tylko jedno pytanie.

Skinęła głową i przeniosła wzrok na młodszego policjanta, który właśnie wychodził.

- Dobrze - powiedziała. - Ale ja już nic więcej nie mam do powiedzenia.

- Czy to pani dziecko?

- Słucham? - spytała Carole sięgając po futro i torebkę z krokodylowej skóry.

- Czy to pani dziecko?

Spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

- Moje? Ja nawet nie jestem mężatką.

Wzruszył ramionami.

- To właśnie jest powód, żeby się pozbyć dziecka.

Carole pozostawiła to bez odpowiedzi. Jako „podrzutek” nie brała w ogóle pod uwagę, że sama mogłaby coś podobnego zrobić, obojętne - jako mężatka czy niezamężna. Usiłowała nad sobą panować.

- To nie jest moje dziecko - powiedziała dobitnie. - Skąd panu to w ogóle przyszło do głowy?

- Parę lat temu mieliśmy podobną sprawę. Ktoś podrzucił dziecko właśnie tutaj, na schodach szpitala. Parę osób, które się tam przypadkowo znalazły, twierdziło, że zauważyły odchodzącą jakąś kobietę.

- Nie widzę w tym żadnego związku ze mną - powiedziała bardzo chłodno Carole.

- Czasem, mimo że matka porzuca dziecko, to jednak chce się upewnić, że ktoś się nim zajmie. Dlatego pewnie tamta kobie-

ta zostawiła dziecko tutaj. Może i pani dlatego się tu kręci, żeby zobaczyć, co się stanie z tym małym.

Carole potrzyasała głową; równo obcięte lśniące brązowe włosy muskały jej policzki.

- Myli się pan, panie władzo. „Kręcę się” tutaj, bo nie pozwolono mi pójść do domu.

- Popatrz, Al! - krzyknął od drzwi młodszy policjant. - Tylko spójrz.

Al Gibson wstał i przeszedł przez pokój. Wraz z nim podeszła i Carole; młodszy policjant trzymał w ręku kocyk dziecka i plastikową torbę.

- Co to jest? - spytała patrząc na torbę.

- Parę dziecinnych rzeczy, które mała miała przy sobie. Zniszczone, ale czyste. Była też butelka wody.

- Mała? - spytała Carole. - Czy to dziewczynka?

Policjant uśmiechnął się.

- Tak. Dziewczynka, ma na imię Katy. Matka włożyła do kocyka kartkę. Napisała, że ma czworo dzieci i że mąż od niej odszedł. Straciła pokarm i nie jest w stanie wykarmić kolejnego dziecka. Twierdzi, że sam Bóg jej wskazał, gdzie zostawić małą. On też z pewnością sprawi, że zostanie w porę znaleziona.

- Stuknięta baba! - rzekł Al i pokiwał głową.

Carole jednak nie zwróciła na jego słowa uwagi. Zbyt była pochłonięta uświadamianiem sobie niezwykłego zbiegu okoliczności, który przywiódł ją do dziecka. Kiedy to zdarzyło się jej iść pieszo, gdy mogła jechać samochodem? I dlaczego właśnie dziś postanowiła iść pieszo, i to wieczorem, chociaż była tak bardzo zmęczona? Zrobiło jej się słabo na myśl o tym, jak długo mogłoby potrwać, zanimby ktoś inny natknął się na dziecko. Czyżby dzieci rzeczywiście miały aniołów stróżów?

- Jak się miewa mała? - spytała nagle.

- Świetnie. Doktor mówi, że ma parę miesięcy. Jest zdrowa. Najwyraźniej nie leżała tam zbyt długo. Była dobrze opatulona, ale jest głodna jak wilk.

Carole ogarnęło uczucie ulgi. Uśmiechnęła się słabo.

- Może pani już iść, panno Chapman - powiedział uprzejmie Al Gibson. - W razie czego panią wezwiemy.

Skinęła głową; nagle poczuła się bardzo zmęczona.

- Ale co będzie z... Katy?

- Proszę się nie martwić. Za chwilę przyjedzie Chris i zabierze małą - powiedział policjant o nazwisku Gibson.

- Chris?

- Tak. Chris Nicholas to policyjny psycholog.

Chris Nicholas. Psycholog. Taka kobieta, pomyślała Carole, chyba zapewni dziecku odpowiednią opiekę i warunki.

- Chris ma uprawnienia i w każdej chwili może wziąć dziecko, kiedy trzeba je wyciągnąć z jakiejś biedy. Mała będzie u niego, dopóki nie znajdzie się matka, albo dopóki nie umieścimy dziecka w rodzinie zastępczej.

- U niego? - powtórzyła Carole z niedowierzaniem. Ale mimo zaskoczenia, jakie spowodowała ta informacja, szybko się pocieszyła: - Pewnie ma żonę, prawda?

Gibson potrząsnął głową.

- Nie. Ale niech się pani nie martwi; Chris ma doskonałe kwalifikacje. Jest wdowcem z trojgiem własnych dzieci.

Zanim do Carole dotarło to, co powiedział, Al wskazał na drzwi.

- Właśnie przyjechał.

Carole odwróciła się w stronę wejścia do izby przyjęć. Z piskiem opon zatrzymał się przed budynkiem jakiś samochód kombi pokryty warstwą czerwonego pyłu, straszący wygiętym zdekszakiem. Carole szeroko otworzyła oczy i serce w niej zamarło, gdy z wnętrza tego niezbyt okazałego auta wyłonił się mężczyzna wzrostu prawdziwego olbrzyma.

Chris Nicholas musiał mieć przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był tak barczysty, że wyglądał jak futbolista w pełnym rynsztunku. Długie włosy, tak jasne, że prawie białe, kontrastowały z ciemnym wąsem porastającym górną wargę.

Nie to jednak było najgorsze, pomyślała Carole, która pełnym przerażenia wzrokiem mierzyła go od stóp do głów. Jeżeli szata zdobi człowieka, jak twierdzą nie tylko dyktatorzy mody, to z tym człowiekiem będzie kłopot. Trudno było sobie wyobrazić kogoś, kto by mniej odpowiadał ideałowi „Mężczyzny w Każdym Calu”. Miał na sobie wyblakłe, złachane dżinsy, tak ciasne, że suwak w rozporku mało nie trzasnął. Zmusiła się, żeby podnieść wzrok z niepokojącej męskiej wypukłości na klatkę piersiową Chrisa. Tu było jeszcze gorzej. Kraciasta flanelowa koszula, rozchełstana pod szyją, z rękawami podwiniętymi do łokci, w kolorach stanowiących nieprawdopodobną kombinację pomarańczowego, czarnego i zieleni, nałożona na podkoszulek, została wetknięta niedbale w nędzne dżinsy. Wielkie stopy Chrisa, bez skarpet, tkwiły w rozdeptanych tenisówkach.

Carole wstrząsnęła się lekko, co nie miało nic wspólnego z podmuchem chłodnego powietrza, który wtargnął do środka wraz z olbrzymem. I to ma być psycholog? Rodzic zastępczy dla Katy? Ten... ten obdartus, który wygląda jak podopieczny Armii Zbawienia?

Rozdział drugi

Jakżeż, na miłość boską, miałyby się zgodzić na to, żeby ten człowiek wziął Katy?

- Hej, Chris! - zawołał młodszy policjant, wyciągając rękę.
- Dobrze, że jesteś.

Przybyły wymienił uścisk dłoni z policjantami.

- Nie ma sprawy. Jak tam dziecko?
- Doktor mówi, że świetnie. Przygotowuje ci mieszankę i różne rzeczy dla małej.

- Dobrze.

Ale Gibson wskazał Carole.

- To jest Carole Chapman. To ona znalazła Katy.

Psycholog policyjny odwrócił się, wyciągnął rękę, a jego wąsy uniosły się w powolnym, bardzo sympatycznym uśmiechu.

- Cześć, Carole. Nazywam się Chris Nicholas.

Wrodzona uprzejmość skłoniła ją do wyciągnięcia ręki, ale jej zachowanie miało niewiele wspólnego z tym, co czuła. Jednak jego ciepły uśmiech i silny uścisk wielkiej ręki, w której zniknęła dłoń Carole, sprawiły, że na chwilę zapomniała o tym, że Chris wygląda jak ostatni łachmaniarz. Jej „cześć” było prawie niesłyszalne.

- To pani znalazła Kąty w kościele baptystów? - spytał.

- Tak - cofnęła rękę dość szorstko. Zmęczyło ją odpowiadanie na ciągle te same pytania - tak to sobie przynajmniej wytłumaczyła. Chciała się tylko upewnić, że zostawia dziecko w dobrych rękach i spokojnie iść do domu, wziąć gorącą kąpiel i położyć się do ciepłego łóżka. A poza tym nie podobało jej się, że na dotyk Chrisa zareagowała lekkim drżeniem.

- Czy jest pan pewien, że da pan sobie radę z dzieckiem? - spytała, broniąc się w ten sposób przed dziwnym uczuciem. - To przecież nie jest szczenię. Będzie płakała po nocach i trzeba ją przewijać...

Olbrzym uśmiechnął się, ale w jego szafirowoniebieskich oczach błysnęło zrozumienie.

- Doskonale się orientuję, jak się zachowują takie maluchy - odparł. - I może być pani spokojna, że się nią dobrze zajmę. Mam bardzo duże doświadczenie.

- To w porządku - powiedziała wkładając płaszcz.

Skinał głową i znów się uśmiechnął.

Ten właśnie szczególny uśmiech podziałał Carole na nerwy. Jakby Chris chciał jej powiedzieć bez słów, że z takim zachowaniem nie ma co liczyć na zamażpójście. Spojrzała na niego wyniośle, mierząc go od stóp aż po lśniącą jasną czuprynę. Był to błąd, jak sama stwierdziła, czując przyspieszone bicie serca. Jakże mogła zapomnieć o jego szerokich barach i o tym, jak

szczelnie jego biodra wypełniają dzinsy? Nie mogąc opanować pożądania, rzekła z ironią:

- Cieszę się, że Katy będzie w tak dobrych rękach - chwyciła torebkę i zarzuciła ją sobie na ramię. - Do widzenia panu. Miło było... pana poznać.

Dobroduszny wyraz znikł z jego oczu, a gęste jasne brwi zbiegły się nad nosem.

- Hej - powiedział - a co to, giez panią ukąsił, czy co?

Carole drgnęła. Giez, rzeczywiście! Co za nieokrzesany facet! Gniewnym wzrokiem raz jeszcze zmierzyła go od stóp do głów. Wbrew logice, wbrew nakazom zdrowego rozsądku, jej serce rwało się do niego. Usiłowała znaleźć sensowny powód swojej wrogości,

- Pana... pana sposób ubierania się jest nie do przyjęcia - wyjąkała wreszcie.

- Ach, to naturalnie wyjaśnia sprawę - odciął się z nietypową dla siebie zawziętością. - Bardzo przepraszam. Gdybym wiedział, że mój strój będzie poddany takiej surowej ocenie, to bym włożył frak.

Żywe, niebieskie oczy zmierzyły się z piwnymi, podczas gdy Al Gibson i jego kolega patrzyli zdumieni na tę konfrontację.

Chris zauważył, że spojrzenie Carole jakby zmiękło, poczuł, że się wycofuje. Czyżby dostrzegł w jej oczach ból? Dlaczego? Mężczyzna, który uznał, że Carole ma najbardziej zmysłowe usta i najwspanialsze czekoladowobrazowe włosy, jakie kiedykolwiek widział u dziewczyny, ustąpił w Chrisie miejsca psychologowi.

- Przepraszam - powiedział nagle. Przemówił przez niego terapeuta. - Przykro mi, jeżeli w czymś uchybiłem. Proszę o wybaczenie. Ma pani rację. Istotnie nie jestem odpowiednio ubrany, ale nie wiedziałem, że będę musiał się podobać.

Nagła skrucha Chrisa zaskoczyła Carole. Może zbyt pochośnie go oceniała. Mimo dziwnych uczuć, jakie w niej budził, i mimo faktu, że był tak źle ubrany, wiedziała przecież, że każdy człowiek, który poświęca się dzieciom, musi być dobry.

Westchnęła i potrzęsnęła głową.

- Nie, to moja wina. Miałam ciężki dzień i jestem bardzo zmęczona. Niech pan to złoży na karb złego wychowania i znużenia.

- Proszę bardzo! - weszła biało ubrana pielęgniarka, przyciskając do swojego potężnego biustu malutki węzełek, który następnie wyciągnęła w stronę Chrisa.

- Cześć, Margaret! - rzekł Chris z uśmiechem.

- Cześć! - odpowiedziała, podając mu Katy. - Tym razem trafiła ci się prawdziwa ślicznotka.

Chris zmrużył oczy w uśmiechu.

- No, obejrzyjmy ją sobie. - Odsłonił twarzyczkę dziecka. - Jest rzeczywiście śliczna, prawda? - spojrzał na Carole. - Chce sobie pani jeszcze raz na nią zerknąć?

Carole podeszła do Chrisa w milczeniu i nachylając się spojrzała na Katy. Niemowle spało, a jego jasne rzęsy spoczywały na zaróżowionych od snu policzkach. Carole poczuła pod powiekami piekące łzy. Jak można było tak po prostu zdać życie i losy maleństwa na łaskę czy niełaskę obcych? Mrugając, by pozbyć się łez, i nie patrząc w stronę Chrisa, odsunęła się i powiedziała:

- Na pewno zajmie się pan nią wspaniale.

Chris pochwyił w jej głosie wzruszenie i zaczął się zastanawiać, dlaczego ta sprawa tak bardzo ją obeszła. Chciał, żeby Carole na niego spojrzała.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał.

Carole skinęła głową i pobiegła w stronę drzwi. Obserwując jej nagłe odejście zastanawiał się, co jej się stało.

Sobota, 26 listopada

Tego dnia, pomimo trwającego weekendu panował w sklepie ogromny ruch. Carole kazała swoim dwóm pracownikom obsługiwać klientów i kasę, sama zaś zajęła się dekorowaniem wystawy sklepowej.

Dziwne, ale okazało się to nie tak trudne, jak sądziła. Może dlatego, że myślami była gdzie indziej, a konkretnie przy Katy

i kobiecie, która ją porzuciła. W przeciwieństwie do matki Carole, wyglądało na to, że matka Katy chciała jej dać szansę na lepsze życie. A zresztą... nie wiadomo przecież, co będzie teraz z małą. Czy oddadzą ją do sierocińca, a może będzie się tułała po różnych rodzinach zastępczych jak Carole?

Kiedy myślała o rodzinach zastępczych, przypomniała sobie Chrisa Nicholasa. Jak długo może trzymać u siebie Katy? Ale przede wszystkim, komu ją odda? Rozsądek mówił Carole, że psycholog musi mieć odpowiednie kwalifikacje, ale mimo wszystko wolałaby zobaczyć na własne oczy, jak się małej powodzi.

Rozwinęła arkusz czerwonej bibułki i potrząsnęła głową. Sprawdzenie, jak się miewa Katy, oznaczałoby ponowne spotkanie z Chrisem Nicholasem. Uznała, że byłoby to niewłaściwe. Mimo to myśl ta nie dawała jej spokoju, a co gorsza, towarzyszyło jej przyspieszone bicie serca. Postanowiła całkowicie wybić to sobie z głowy.

Gdy jednak udała się wieczorem do swego łóżka, jej ostatnia myśl pobiegła ku ciepłemu, przyjaznemu uśmiechowi Chrisa Nicholasa...

Niedziela, 27 listopada

Carole cieszyła się, że nie musiała pracować w niedzielę, chociaż sklepy w pasażu były otwarte od pierwszej do piątej. Po południu zakończyła obowiązki tygodnia i wyglądając przez okno stwierdziła, że znowu myśli o... Katy. Pod wpływem nagłego impulsu wykreśliła numer komisariatu policji i poprosiła o połączenie z policjantem Alem Gibsonem.

- Tak? - usłyszała w chwilę później jego znajomy chropawy głos.

- Tu mówi Carole Chapman, ta, która przedwczoraj znalazła Katy - powiedziała bez żadnych wstępów.

- Tak, słucham - odparł. - W czym mogę pomóc?

- No właśnie... - przerwała. - Tak sobie pomyślałam... czy pan wie może, jak się miewa Katy?

- Nie, nie mam pojęcia. Nie widziałem się z Chrisem od czasu, kiedy wziął małą.

- Aha.

- Niech pani sama spróbuje się czegoś dowiedzieć - poradził jej Gibson. - Chris nie weźmie pani tego za złe.

Na samą myśl o tym zabiło jej żywej serce, chód w skrytości ducha wiedziała, że rada Ala Gibsona tylko potwierdza jej własne pragnienia. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje, ale ostatnio głos serca brał w niej górę nad podszeptami zdrowego rozsądku.

- Och, ale ja nie znam...

- Powiem pani, jak tam dojechać - rzekł policjant - na wszelki wypadek.

W pół godziny później Carole dotarła do gospodarstwa Chrisa Nicholasa. Cedrowy dom, stojący pośrodku leszczynowego łąsku, miał od frontu ganek. Za drzewami i za stodołą rozciągały się pastwiska, o tej porze brunatne od zeschniętej trawy. Kilkanaście sztuk bydła pasło się na nich, a siedem - policzyła - łabędzi majestatycznie płynęło przez gładkie lustro wielkiego stawu, zaś tuż za nimi harcowało stadko hałaśliwych kaczek. Stodoła robiła wrażenie świeżo malowanej, podobnie jak ogrodzenie z siatki. Carole pomyślała, że ten widok na wiosnę musi być wspaniały, gdy zielona trawa faluje przy lekkim wietrze. Wymarzone miejsce dla małych dzieci. I w przeciwieństwie do samego właściciela, gospodarstwo było zadbane.

W poczuciu dziwnego zadowolenia wysiadła z samochodu i wciągnęła haust świeżego powietrza. Choć poprzedniej nocy temperatura spadła do zera, to jednak w sposób typowy dla Luizjany w dzień jesienne słońce podnosiło rtęć w termometrze do dwudziestu kilku stopni. Idealne popołudnie na wypad za miasto.

Melancholijne głosy rozmawiających ze sobą przepiórek wywołały w Carole nagłe poczucie niepewności. Czy słusznie zrobiła przyjeżdżając tutaj?

Pograżona w myślach, patrzyła na trzy defilujące po trawniku pstre egzotyczne kury, za którymi kroczył dumnie kogut. W Carole znów wstąpiła energia. Obeszła maskę samochodu i ruszyła do drzwi frontowych.

Nagle usłyszała dziwne odgłosy i syk, a jednocześnie wewnątrz domu rozległ się rozdzierający wrzask. Carole szeroko otwartymi oczami patrzyła to na dom, to na sześć gęsi, które nacierały na nią z rozpostartymi skrzydłami, niewątpliwie we wrogich zamiarach. Szybko podjęła decyzję i rzuciła się z powrotem do auta. W chwili gdy już była przy samochodzie, drzwi frontowe domu otwarły się i na ganek wybiegł jakiś nastolatek wrzeszcząc:

- Wynocha! Sio!

Rozdział trzeci

Carole patrzyła na chłopaka, nie mogąc uwierzyć, że wygania ją w sposób tak bezceremonialny. Odruchowo zaczęła przeproszać, że przyjechała bez uprzedzenia.

- Bardzo mi przy...

- Wynocha, czego się tu pchacie, precz stąd, ty nędzna kupo pierza! - krzyczał chłopak, przerywając jej przeprosiny.

Ale przecież on wcale nie mówił do niej. Wrzeszczał do gegających gęsi. Wystraszone jego głosem - a może machaniem rękami - gęsi przestały się drzeć i atakować.

Z trudem łapiąc oddech Carole postanowiła wejść na ganek modląc się, żeby drżące nogi ją utrzymały. Słyszała o tym, że gęsi są dobrymi stróżami, ale nigdy dotąd nie widziała ich w akcji.

- Bardzo przepraszam - powiedział młody człowiek z wymuszonym uśmiechem, przeciągając ręką po krótkich ciemnych włosach. - Te gęsi mimo wszystko lepiej pilnują domu niż Shep. - Wskazał ręką psa śpiącego na grządce niegdyś wspaniałych, a dziś żóhordzawych kwiatków. Na dźwięk swego imienia pies podniósł łeb, ziewnął i parę razy uderzył ogonem o ziemię.

Carole musiała się uśmiechnąć.

- Wygląda jak płonąca żagiew.

Chłopak uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Nazywam się Brian Nicholas. W czym mogę pani pomóc?

Zanim uświadomiła sobie, że musi to być syn Chrisa, jakiś zgrzytliwy głos z głębi domu zaskrzeczał:

- Cholera, znowu goście!

Widząc zdziwienie na jej twarzy, Brian uśmiechnął się.

- Niech się pani nie przejmuj. To tylko Sebastian.

- Sebastian?

- To nasza papuga.

- O - powiedziała Carole, nadal nie mając pojęcia, co się dzieje wewnątrz domu. Następnie zauważywszy, że Brian pauzy na nią pytająco, dodała: - Nazywam się Carole Chapman. Przedwczoraj wieczorem znalazłam w kościele Katy i chciałam tylko zapytać o jej zdrowie.

Brian skinął głową.

- Ach tak, słyszałem. Katy czuje się świetnie. Jest w tej chwili trochę bałaganu, ale niech pani wejdzie i sama zobaczy - zaproponował, kierując się w stronę szerokich stopni ganku.

Słowo „bałagan” ledwie oddawało istotę tego, co ujrzano wchodząc do domu Chrisa Nicholasa. Był to bowiem istny dom wariatów. Resztki spokoju, jaki udało się jej zachować po ataku gęsi, przysły jak bańka mydlana, gdy rozpaczliwie usiłowała zrozumieć, o co tu chodzi.

Trzech chłopców różnego wzrostu i wyglądu, mała jasnowłosa dziewczynka i drugi pies, który wyglądał jak miotła, szaleli po podłodze, wchodząc pod stoły w poszukiwaniu czegoś bliżej nie określonego, podczas gdy ładna nastolatka siedziała na kanapie trzymając lakier do paznokci w bezpiecznej odległości. Olbrzymia papuga brazylijska siedziała na górnych gałęziach drzewka cytrynowego.

- Cholera, znowu goście!

Carole rzuciwszy okiem w stronę papugi, która uparcie powtarzała to obwieszczenie, zobaczyła Chrisa z wrzeszczącą

wniebogłosy Katy na rękach. Działo się tak wiele naraz, że nawet nie zauważył wejścia Carole. Coś zielonego skoczyło na siedzącą na kanapie dziewczynkę, która pisnęła i krzyknęła:

- Zabiję cię, Tad!

Jasnowłosy chłopiec wysunął się do przodu.

Z najwyższym obrzydzeniem Carole stwierdziła, że złapał żabę.

- No i co? No i co teraz?! - Tad śmiejąc się potrząsał żabą przed twarzą dziewczynki. Ten akt agresji wywołał ponowny krzyk przerażenia nastolatki i grzmiące: „Tad!” ze strony Chrisa.

- De ich właściwie masz, Jake? - spytał Chris chłopca trzymającego wielki szklany słoć wypełniony żabami.

- Dziesięć - odpowiedział Jake, gdy Tad dołożył żabę do zbioru.

- Chris - rzekł Brian, korzystając ze względnej ciszy. - Przyszła pani Chapman. - Ale Chris nie usłyszał, bo słowa Briana zagłuszył chór kukułek. Rozglądając się po pokoju Carole naliczyła cztery zegary z kukułkami.

- Chris! - ryknął Brian, z trudem przekrzykując kukułki i szczekanie psa, który właśnie wyczuł Carole i najwyraźniej uznał jej futro za jakieś zwierzę. Szczekając wściekle natarł na połę płaszcz i zaparłszy się łapami zaczął ją szarpać i tarmosić gniewnie.

Carole przestała się zastanawiać, dlaczego Brian zwraca się do ojca po imieniu, i w najwyższym przerażeniu schyliła się próbując wyrwać psu płaszcz - kosztowne jagnięce futro - gdy nagle kolejna żaba wyskoczyła nie wiadomo skąd dotykając nieomal jej twarzy. Carole podskoczyła i wrzasnęła.

Pies puścił zdobycz i wycofał się wskakując na krzesło, na którym leżała sterta świeżo upranej bielizny. Carole nie wiedziała, czy sprawił to jej wrzask, który przebił się przez ogólny harmider, czy to dlatego że cztery ptaszki wykukawszy godzinę wróciły do swoich zegarów - w każdym razie w pokoju nagle zaległa cisza.

Napotkała wzrok Chrisa. Patrzył na nią zdumiony, podobnie jak i dzieci, ona zaś poczuła się jak intruz w obcym kraju. Nawet Katy się uspokoiła.

- Mam ją - powiedziało któreś z dzieci, przerywając ciszę. Chłopak trzymał żabę wysoko obiema rękami, mrużąc w uśmiechu migdałowe oczy.

- Spokój, Mikey - rzekł Chris, przenosząc uwagę z Carole na chłopca, a następnie zwracając się do Tada, który, jak się Carole zorientowała, musiał być prawdziwym synem Chrisa, jeżeli podobieństwo fizyczne, a szczególnie identyczny kolor włosów mają jakiegokolwiek znaczenie.

- Zabierz te żaby z powrotem do terrarium i więcej ich nie wypuszczaj, rozumiesz, co mówię?

- To nie ja - zaproponował Tad. - To Tina upuściła koszyk na ziemię.

Chris zamknął oczy, a Carole pomyślała, że pewnie liczy do dziesięciu.

- A co one właściwie robiły w koszyku? - spytał z rezygnacją.

- Chciała je wziąć na spacer.

- Na spacer?

- Tak. Były bardzo zmęczone przebywaniem w tłoku.

- Idź do swego pokoju - powiedział Chris zrezygnowanym tonem.

- I przy okazji posprzątaj - dodał Brian.

- Chciałbyś - mruknął Tad z nie ukrywaną wściekłością, po czym spojrzął na Carole. - A to kto?

- Nie gap się, Tad - powiedziała dziewczynka siedząca na kanapie.

- To jest panna Chapman - przedstawił Carole Brian. - To ona znalazła Katy. - I zanim ktokolwiek, nie wyłączając Chrisa, zdołał coś powiedzieć, Brian zaprosił ją, by usiadła. Spojrzął na najbliższe krzesło, gdzie leżał zwinięty w kłębek pies, i zarumienił się zmieszany, po czym zgonił psa i zabrał bieliznę.

- Dziękuję - Carole usiadła z wdzięcznością, Chris zaś przytulił Katy i poklepał uspokajająco po plecach.

- Przepraszam za ten bałagan - powiedział z pełnym skruchy uśmiechem. - Niech pani nie myśli, że u nas zawsze tak jest.

- Ależ ja rozumiem - uspokoiła go. Ostatecznie nie codziennie żaby łążą swobodnie po domu.

- Czasem jest gorzej - powiedział ze śmiertelną powagą, ale Carole dojrzała w jego błękitnych oczach iskierki rozbawienia. - Chciałem panią po prostu uczciwie ostrzec.

- Och. - Było to wszystko, co zdołała wykrztusić.

- Czym mogę pani służyć, panno Chapman?

Napotkała jego wzrok i poczuła, że twarz jej płonie.

- Taki ładny dzień, więc... pomyślałam, że będzie przyjemnie się przejechać, i przy okazji...

- Jest pani ciekawa, jak się powodzi Katy - orzekł krótko.

- No, tak.

- Bardzo dobrze. - Kucnął przy krześle i obrócił Katy tak, żeby Carole mogła ją sobie obejrzeć. Mała szeroko otworzyła oczy i przestała płakać. Delikatne włoski miała zaczesane na bok. Robiła wrażenie dobrze odżywionej i pachniała przyjemnie czystością, dokładnie tak, jak powinno pachnieć niemowlę.

Carole odwróciła się z uśmiechem i spojrzała na Chrisa, zdumiona, jak blisko niej się znalazł. Ależ ma szerokie ramiona, pomyślała, wędrując wzrokiem od mocnej szczęki do kształtnej górnej wargi, wyzierającej spod obfitych wąsów.

Nigdy jeszcze się nie całowała z kimś, kto nosi wąsy, pomyślała ni z tego, ni z owego, przesuwając wzrok, ku jego oczom, które uśmiechały się do niej ciepło. Zmysłowość ukryta pod fasadą niewinnego błękitu zaparła jej dech.

- No i jak? - spytał cicho.

Oblizła suche wargi z trudem łapiąc oddech.

- Wygląda... ładnie.

- Bo i ma się dobrze.

Rzeczywiście, Katy świetnie się przystosowała. Chyba będzie jej dobrze w tej rodzinie, pomyślała i spostrzegła, uśmiech Chrisa.

- Przedstawię pani moich zabijaków - powiedział odsuwając się od niej. - Oczywiście Briana już pani zna. W tym roku kończy szkołę.

Zadowolona z uwolnienia się od jego bezpośredniej bliskości, Carole skinęła głową.

- Ocalił mnie przed gęsiami.

- Brian jest najstarszy. Nosi nazwisko Nicholas od jakichś sześciu miesięcy.

Zdumiało to Carole. Po co Chris miałby adoptować chłopca w wieku Briana, który i tak wkrótce wyjdzie z domu i się uniezależni.

- Ta panienka, która tak dba o swój manicure, to moja córka Lisa, uczennica dziewiątej klasy.

Ładna, jasnowłosa Lisa zmarszczyła noseć, ale w jej niebieskich oczach pojawił się znany Carole figlarny błysk.

- Dzień dobry.

Chris wskazał chłopca trzymającego szklany słój.

- Jake Arnold, hodowca żab, jest u nas od początku roku szkolnego. Ma trzynaście lat.

- Cześć. - Jake nieśmiało skłonił głowę.

Chris sięgnął ręką i zwichrzył włosy roześmianemu chłopcu o nieco egzotycznym wschodnim wyglądem.

- A to jest Mike. Ma dziesięć lat i właśnie podjąłem starania o jego adopcję.

- To ja. - Mike uśmiechnął się do Carole szeroko.

Przyjrawszy się uważnie, Carole dostrzegła, że Mike zdradza objawy zespołu Downa. Poczwała ogromne współczucie dla tego chłopca, ale uśmiech Mike'a, który mógł rywalizować z promieniami słońca wpadającymi przez okno, rozwiął jej smutek.

Chris wskazał na szczupłego chłopca w grubych okularach i jasnowłosego winowajcę, właściciela żab, i rzekł:

- A oto Straszna Dwójka. Tad jest moim własnym potomkiem i ma siedem lat, a ośmioletni Dawid Carter to młodociany geniusz w dziedzinie komputerów. W co jeden się nie wda, w to się z pewnością wpakuje drugi.

- I ja, tato - powiedziała rezolutna dziewczynka, która trzymała się kurczowo nogawki Chrisa.

- Nie zapomniałem o tobie, ślicznotko - uspokoił ją Chris kładąc swoją wielką dłoń na jej jasnej główce. - To jest Tina Nicholas. Ma dwa i pół roku i jest odrobinę zazdrosna o to małżeństwo. - Uśmiechnął się. - No i oczywiście Katy, którą pani zna.

- I ja, tato - upomniał się Sebastian, który oczywiście powtórzył dosłownie wszystko, co usłyszał.

- Ano, racja - rzekł Chris. - To jest Sebastian. Lubimy tutaj wszystkie zwierzęta, nawet te najzwyczajniejsze.

Carole przypomniała sobie menażerię sprzed domu. Była pod wrażeniem tego, co tu zobaczyła, a ponadto cisnęło jej się na usta mnóstwo pytań, jak na przykład: skąd pochodzą te wszystkie dzieci, dlaczego Chris przysposabia dziecko z zespołem Downa, i co się stało z jego żoną? Zamiast mu jednak zadać te pytania, powiedziała:

- Trójka - Lisa, Tad i Tina - to pana własne dzieci, prawda?

- Zgadza się - Chris skinął głową, a potem nagle zmieniając temat zapytał:

- Napije się pani kawy?

Tak jak tego wieczora, kiedy się poznali, zaskoczył ją swoim ciepłym uśmiechem, tak i teraz gest gościnności zadziwił zupełnie nie przygotowaną na to Carole.

- Kiedy ja... - urwała niepewnie, zastanawiając się, czy nie powinna po prostu wyjść, póki to jeszcze możliwe. Ostatecznie na własne oczy zobaczyła, że mimo panującego w tym domu bałaganu, Katy ma się świetnie. - Filiżanka kawy to wspaniała propozycja - usłyszała swój własny głos. - Bardzo dziękuję, chętnie.

- Dobrze. Myślę, że Lisa upiekła jakieś ciasteczka. - Chris zwrócił się do dzieci. - Wracać do swoich zajęć. I to żwawo.

Ku zdumieniu Carole, pokój opustoszał, jakby im Chris powiedział, że ulatnia się gaz trujący, chociaż słyszała jakieś utyskiwania, kiedy wychodzili.

- Ale nie ty, panienko - zwrócił się Chris do Lisy, która już się szykowała, żeby też wyjść.

Odwróciła się do niego i spytała niewinnie:

- A dlaczego?

- A dlaczego? - powtórzył jak echo Chris i spojrzał na Carole. - Wygląda na bystrą, prawda? Ale niestety ma bardzo krótką pamięć.

- Tato! - krzyknęła Lisa.

- Przepraszam cię, kochanie, ale bez względu na to, czy masz świeży manicure, czy nie, masz dziś dyżur w kuchni.

Lisa spojrzała na niego wzrokiem zranionej sarny.

- *Pronto.*

- Przecież obiecałeś, że pojedziemy do miasta i kupisz mi nową sukienkę na świąteczne tańce.

- Ale to było, zanim uciekło jedenaście żab i zanim przyjechali goście - rzekł Chris wskazując na drzwi. - No, jazda do kuchni.

Lisa wyszła. W szeroko otwartych drzwiach Carole zobaczyła olbrzymią kuchnię, w której brudne naczynia zajmowały całą powierzchnię stołu. Współczuła Lisie. Własne doświadczenie mówiło Carole, jak trudno jest dziewczynce u progu kobiecości, gdy nie ma nikogo, kto by nią pokierował, nikogo, komu mogłaby się zwierzyć ze swoich problemów i opowiedzieć o zmianach zachodzących w jej życiu, w jej ciele... nikogo, kto by jej pomógł wybrać sukienkę na zabawę.

Z drugiej jednak strony, Lisa miała przynajmniej kochającego ojca, który pragnął zastąpić jej matkę, a więc to, czego tak bardzo brakowało i Lisie, i tamtym wszystkim dzieciom. Musiało mu

być trudno wychowywać dzieci bez żony i matki. I jeszcze do tego dodatkowa odpowiedzialność za tę piątkę obcych...

- Niech pani potrzyma Katy, dobrze? - rzekł Chris przerywając w ten sposób smutne myśli Carole.

Podniosła oczy, postanowiła się jakoś wykręcić. Nie weimie Katy, dość ma już tej uczuciowej szarpaniny.

- Ja nie... - zaczęła i w tym momencie spotkały się ich spojrzenia. W błękitnych głębinach jego oczu dostrzegła pytanie: o co chodzi? Carole zdała sobie nagle sprawę, że Chris jest człowiekiem o szalonej intuicji.

Uśmiechnął się do niej. Nie była pewna, czy kiedykolwiek spotkała kogoś, kto się tak często uśmiechał i kto miał tak miły uśmiech.

- Jeżeli nie potrzyma pani Katy, Lisa będzie musiała zrobić kawę. A jeżeli Lisa zrobi kawę, to pani się tu u nas więcej nie pokaże.

Carole nawet nie zauważyła, jak wyciągnęła ramiona. Chris bez słowa złożył w nich Katy i zniknął w drzwiach wahadłowych prowadzących do kuchni. Dopiero Kiedy wyszedł, zaczęła się zastanawiać, jakie to może mieć dla niego znaczenie, czy ona tu jeszcze przyjdzie, czy nie.

Rozdział czwarty

Gdy Chris szykował w kuchni kawę, Carole oglądała pokój, głaszcząc Katy po plecach i szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego Chrisowi Nicholasowi tak się wszystko udaje. Sebastian skakał po gałęziach drzewka cytrynowego. W całym pokoju najbardziej rzucał się w oczy wielki kamienny kominek z szafką na broń po jednej stronie i dla równowagi z regałami na książki po drugiej. W głębi na ścianie wisiała wypchana głowa jelenia i wielki łeb okonia. Widać było, że Chris wiele czasu spędza na łonie natury. Polując. I wędkując. Ale musi być przy tym odczytany, pomyślała, widząc porozrzucane dokoła czaso-

pisma i odczytując tytuły na grzbietach książek. Było tu wszystko - od klasyki do Ludluma, włącznie z czasopismami z dziedziny psychologii.

W pewnej chwili Katy zaczęła kaprysić skracając w ten sposób zwiedzanie pokoju przez Carole, która kołysząc i huśtając małą pomyślała: a jeśli Katy naprawdę zacznie płakać? Zerknęła w stronę kuchni. Jak długo można zapażać kawę?

Przyjrzała się uważnie dziecku, które zakwiliło cicho, a potem złożyło usteczka do ssania.

- Och, Katy - błagała ją Carole - proszę cię, tylko nie płacz. Czyżbyś była głodna?

- Co takiego? Jest głodna?

Carole podniosła wzrok i stwierdziła, że w drzwiach stoją trzech mali świadkowie: Tad, Dawid i Mike.

- Czas Ka-tii jeść? - spytał Mike.

- Ka-tii jeść? - powtórzył jak echo Sebastian.

- Nie wiem - wyznała Carole, huśtając Katy w ramionach.

- To chyba kolka - powiedział Dawid poprawiając na nosie swoje grube okulary. Cała trójka podeszła bliżej.

- Kolkę mają konie - rzekł Tad z pogardą.

- Kolka. Gazy. To wszystko jedno, ciemna maso - powiedział Dawid.

- Ciemna maso - zaskrzeczał ptak.

Dawid spojrzał na zegar.

- Zbliży się pora karmienia. Czy chcesz, żebyśmy poszli spytać Chrisa?

- Może to jest i dobra myśl - odparła Carole.

Dawid i Tad wyszli z pokoju, ale Mike został. Carole patrzyła, jak podchodzi do sterty jakichś rzeczy w kącie pokoju, a następnie wraca z koszem na mokre pieluszki, ze świeżą pieluszką i smoczkiem, które jej wręczył z uśmiechem triumfu.

- Mniam-mniam - powiedział, wkładając smoczek do skrzywionych usteczek Katy, która chętnie skorzystała z okazji. Zamknęła oczka i przestała marudzić.

- Nie płacze - powiedział zadowolony z siebie Mike. - Ja powiem do Chrisa.

Wyszedł z pokoju, a serce Carole wezbrało dziwną mieszaniną litości i rozczulenia. Cóż to za słodkie dziecko! Mimo to jednak raz jeszcze pomyślała, że nie rozumie, dlaczego Chris wziął na siebie ciężar wychowania tak wyraźnie upośledzonego malca. Już samo wychowanie takiej gromadki musi być problemem nie lada, a coś dopiero takiego biedactwa. Ileż to musi kosztować dodatkowej pracy.

Nagle, ni z tego, ni z owego, przyszła Carole do głowy inna myśl. Jest tyle zdrowych, normalnych dzieci, takich, jakim i ona kiedyś była, które potrzebują domu. Ból, tak dawny jak jej pamięć, powrócił, a wraz z nim piekące łzy.

Myślała, że jak będzie starsza i lepiej zrozumie ludzi i życie, to może łatwiej pojmie, dlaczego nie znalazł się nikt, kto by chciał uczynić ją częścią swojej rodziny, gdy była dzieckiem. Ale w wieku trzydziestu lat w dalszym ciągu nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Miała żywo w pamięci, jak to trzykrotnie tłumaczyła sobie, że już na pewno tym razem rodzina, w której się właśnie znalazła, ją adoptuje.

Za pierwszym razem, kiedy miała pięć lat, trafiła do dwojga ludzi młodych i sympatycznych - z takich rodziców każde dziecko byłoby dumne. Mówiło się nawet, że Carole jest bardzo podobna do tej kobiety, która była bezpłodna i pragnęła córeczki. Tymczasem po ośmiu miesiącach Marcia Brady odesłała ją z powrotem do sierocińca wyjaśniając, że jej mąż często podróżuje w interesach i życzy sobie, żeby mu towarzyszyła.

Za drugim razem powiedzieli jej, że ją kochają, ale tak naprawdę chodziło im o chłopca. Carole nie pamiętała już, jaki był powód za trzecim razem. Wtedy, w wieku lat dwunastu, była już głęboko przekonana, że coś z nią jest nie w porządku; w przeciwnym razie sprawy potoczyłyby się inaczej. Kochała ich wszystkich i tak bardzo chciała należeć do jakiejś rodziny, która by też ją kochała. Ale nikt nigdy nie odwzajemnił jej miłości, a po tych

trzech łamiących serce doświadczeniach przysięgła sobie, że nigdy nie dopuści do sytuacji, w której by ją znowu odrzucono.

No i, jak dotąd, nie dopuściła.

Owszem, miewała sympatie, ale straciła dziewictwo dopiero w wielu lat dwudziestu pięciu - późno, jak na obecne czasy. Mimo jednak, że ten mężczyzna roztaczał przed jej zdołałym sercem obietnice wiecznej miłości, to jednak bała się puścić wodze własnym rodzającym się uczuciom, bała się, że i on odejdzie jak inni, na których jej zależało. W rezultacie to ona z nim zerwała.

Od tej pory nie miała nikogo. Przestała przyjmować zaproszenia na kolacje, o ile nie było to związane z interesami, przestała zajmować się kimkolwiek poza sobą. Zdecydowała się zachować niezależność i cały swój czas poświęcić na rozwijanie interesów. Tak więc rosła jej klientela i asortyment towarów, co przyciągało handlowców z dalekiego Dallas, Little Rock i Houston. W wyniku własnej decyzji został kobietą samotną, ale zarazem i kobietą sukcesu. Sukces był czymś wymiernym, czymś, na czym mogła polegać.

Na ogół nie żałowała tego wyboru, ale była zbyt bystra, by nie wiedzieć, że natury oszukać się nie da. To dlatego, doszła do wniosku, Chris Nicholas wywołał w niej tak zaskakującą reakcję. Mimo wszystko była kobietą i chociaż Chris ubierał się jak ostatni łachmaniarz, to przecież był niewątpliwie atrakcyjnym mężczyzną. Zrozumiała nawet, że w gruncie rzeczy jego sposób ubierania się jest podyktowany jego stylem życia. Surowa uroda i imponująca sylwetka przy subtelnej osobowości podkreślały tylko jego męskość. Czyżby się myliła uznając, że dość daleko odbiega od ideału Mężczyzny w Każdym Calu?

- Kawa gotowa.

Na dźwięk głosu Chrisa skierowała pełen poczucia winy wzrok ku jego twarzy uciszając burzę myśli.

- To świetnie - powiedziała, próbując ukryć smutek zbyt serdecznym uśmiechem.

Chris postawił dwa kubki na stoliku do kawy i z kieszeni koszuli wyciągnął butelkę dla dziecka.

- Tad i Dawid są zdania, że butla się przyda, ale wygląda na to, że już pani opanowała sytuację.

- Dzięki Mike'owi. Znalazł smoczek Katy.

- To zawsze pomaga - powiedział z uśmiechem. - Położę ją do łóżeczka, żebyśmy mogli spokojnie wypić kawę.

Carole skwapliwie skinęła głową. Trzymanie Katy w ramionach budziło w niej niepokój i poczucie własnej niezręczności w tych sprawach. Podała dziecko Chrisowi, który nachylił się i podłożył ręce pod plecki i szyjkę małej. Pod wpływem ciepła jego stwardniałych dłoni, jak również jego uśmiechu, Carole poczuła się nieswojo, z trudem opanowując zmieszanie.

W milczeniu patrzyła, jak wychodzi z pokoju tuląc do siebie Katy.

Gdy wrócił, ciągle jeszcze zastanawiała się, dlaczego akurat ten właśnie mężczyzna miałby w niej wzbudzić uczucie, przed którym tak skutecznie broniła się przez ostatnie pięć lat.

- Od razu zasnęła jak suseł.

- To dobrze - powiedziała Carole, popijając kawę.

Chris usiadł na kanapie na wprost niej.

- Co się stało?

Zaskoczona Carole odwróciła oczy.

- A na jakiej podstawie uważa pan, że w ogóle coś się stało?

- Odczytywanie ludzkich reakcji to mój zawód - powiedział Chris. - Była pani zła, podejrzliwa i opryskliwa od chwili, kiedyśmy się spotkali w szpitalu. Zapewniam panią, że można na mnie polegać, że jestem w pełni poczytalny i że bardzo kocham dzieci. Naprawdę Katy włos z głowy nie spadnie.

- Wiem o tym - odparła Carole z przekonaniem.

- To o co chodzi?

- To chyba kwestia pory roku, tak mi się przynajmniej wydaje.

- Mówi pani zagadkami. Czy ktoś już pani o tym wspominał?
- rzekł potrząsając głową.

- Pora świąt - wyjaśniła wstając i podchodząc do okna. - Wtedy zawsze wracają wspomnienia.

- Ale widzę, że niezbyt miłe.

- Tak. To prawda. - Carole zwróciła się do niego. - Wychowywałam się w sierocińcu, a także w kilku rodzinach zastępczych...

- Proszę mi mówić Chris.

- Chris - powtórzyła posłusznie. To imię podobało jej się, a jednocześnie odczuła nagłą potrzebę otworzenia się przed nita Widok dzieci w jego domu, świadomość, że Chris potrafi im tak wiele z siebie dać odnowiły dawne rany Carole, budząc wciąż dręczące ją wątpliwości. - Zostałam porzucona tak jak Katy - wyznała. - Tylko że ja miałam dwa lata, kiedy matka zostawiła mnie pod drzwiami sierocińca.

- I pozostały kompleksy?

Carole roześmiała się krótko, gorzko.

- A czy ty byś nie miał kompleksów, gdyby ktoś najbliższy porzucił cię i odszedł nie oglądając się za siebie?

Chris wzruszył swymi potężnymi ramionami.

- Może była taka, jak matka Katy. Może cię kochała, ale wiedziała, że nie jest w stanie zapewnić ci tego, co w życiu niezbędne, nie mówiąc o czymś więcej. Wiedziała, że w domu dziecka będziesz miała przynajmniej dach nad głową i trzy razy dziennie dostaniesz dobrze jeść, nawet jeśli nikt cię nie popieści przed snem.

Carole zastanowiła się nad jego słowami. Doprawdy, nigdy na to w ten sposób nie patrzyła.

- Dlaczego uważasz, że cię nie kochała?

- Ponieważ nikt mnie nigdy nie kochał - wyznała.

- To bardzo mocno powiedziane - rzekł dobitnie. - Na czym opierasz to przekonanie?

- Na tym, że chociaż byłam w kilku rodzinach zastępczych i chociaż tych ludzi pokochałam, to jednak nikt mnie nie chciał zaadoptować - rzuciła gniewnie, nie zdając sobie sprawy, jak dalece wyjawia przed nim to, co jej leży na sercu.

- Adopcja to poważna decyzja, Carole - powiedział spokojnie. - Niektórzy ludzie są fantastycznymi przybranymi rodzicami, ale z tych czy innych względów nie chcą brać na siebie ostatecznych zobowiązań. Czasem uważają, że lepiej się wywiązać stwarzając dziecku sytuację pośrednią między sytuacją złą a przybraną rodziną. A po jakimś czasie człowiek uświadamia sobie, że nie zaadoptuje wszystkich, i musi wybierać.

- Powiedzmy, że tak jest, jak mówisz - rzekła - to na czym ty opierasz swoje decyzje? Dlaczego adoptujesz kogoś takiego jak Brian, który jest prawie dorosły? I dlaczego na przykład Mike'a, a nie Jake'a czy Dawida?

Chris skinął głową, zrozumiał, o co jej chodzi.

- Podobnie jak ty, Brian potrzebował kogoś, kto by go kochał. Musiał wiedzieć, że ma rodzinę. Był w wielu rodzinach zastępczych, ale niezbyt dobrze radził sobie z nauką, a poza tym miewał zatargi z prawem, nic specjalnego, dopóki się nie włamał do szkoły razem z innymi chłopakami. Zgarnęła go wtedy policja i przysłała do mnie. Po pewnym czasie zauważyłem, że Brian znalazł się jakby w martwym punkcie. Był za duży na to, żeby go adoptować, a władze tylko czekały, aż osiągnie pełnoletniość, żeby przestać się nim interesować. A on po prostu błagał o miłość i troskę.

No i Chris mu to zapewnił, tyle Carole wiedziała. Sytuacja Briana była tak podobna do jej własnej, że musiała gwałtownie przełknąć coś, co jej przeszkadzało w gardle.

- Dziwisz się, dlaczego zamierzam adoptować Mike'a zamiast jakiegoś tak zwanego normalnego dziecka. Odpowiedź jest bardzo prosta. Po pierwsze, dzieci w jakiś sposób upośledzone mają minimalną szansę adopcji. Po drugie, jak się z nim więcej przebywa, to łatwo się przekonać, że Mike jest bardzo kochanym dzieckiem. Mam nadzieję, że kiedy osiągnie wiek Briana, będzie mógł żyć normalnie, przynajmniej na tyle, żeby się usamodzielić.

Carole poczuła napływające jej do oczu łzy.

- A inni?

Na usta Chrisa powrócił łagodny uśmiech.

- Było tu sporo różnych dzieci przez te wszystkie lata, ale masz chyba na myśli te, które mam teraz. Jake... - Chris uwał i Carole ujrzała błysk gniewu w głębi jego niebieskich oczu. - Jake jest tu tylko chwilowo. Był bardzo często bity przez oja. Obecnie matka jest w trakcie przeprowadzania rozwodu, szuka jakiegoś godziwego zajęcia dla siebie i mieszkania. Jak stwierdzimy, że jest już dobrze urządzona, Jake będzie mógł do niej wrócić.

Rodzice Dawida zginęli w wypadku samochodowym - ciągnął. - Nie podlega adopcji, ponieważ ma starszą siostrę, osobę pracującą zawodowo, która jednak nie chce ani wziąć na siebie odpowiedzialności za jego wychowanie, ani pozbyć się praw do niego.

- To straszne - powiedziała Carole.

- To prawda, ale Dawid ocalał. I jest bardzo bystrym dzieckiem.

- A co sądzi o tym trójka twoich własnych dzieci? Czy nie mają żalu o to, że ich dom stał się miejscem ciągłego pobytu obcych?

- Niespecjalnie. Lisa jest typową nastolatką. Obecnie woli chłopców niż dziewczynki. Na inne dziewczynki patrzy jak na konkurencję. Tad bardzo sobie ceni partnerów do psot, a Tina po prostu przyjmuje to w sposób naturalny, tak jak traktowaliśmy to Cathie i ja.

- Cathie to twoja żona?

Chris skinął głową.

- Umarła przy porodzie Tiny. - Niebieskie oczy Chrisa napotkały wzrok Carole. - Było to zupełnie niespodziewane. Teraz się nie umiera przy porodach. - Westchnął. - Ale ona umarła.

- Przykro mi.

W jego oczach pojawił się smutek.

- Mnie też. Poza cierpieniem i uczuciem pustki, jej śmierć, utrudniła mi sprawę adopcji dzieci. Jak się nie ma żony, trudno uzyskać zgodę.

- To może powinienes się ożenić - podsunęła mu praktycznie Carole.

Jeden z wąsów Chrisa drgnął w ironicznym uśmiechu.

- Do diabła, niełatwo znaleźć w ogóle dziewczynę... - zatchył ramieniem szeroki łuk - a cóż dopiero taką, która by chciała wziąć sobie na głowę to wszystko. - Promień słońca błysnął na złotym zegarku obejmującym mocny nadgarstek Chrisa, co mu najwyraźniej uświadomiło, która jest godzina. - Psiakość.

- Co się stało?

- Muszę szybko znaleźć kogoś do dziecka.

- Kogoś do dziecka?

Skinął głową idąc do telefonu.

- Jutro jest poniedziałek, a pani Landry, która zajmuje się Tiną i wszystkimi innymi dziećmi w wieku przedszkolnym, zadzwoniła dzisiaj i powiedziała, że ma grypę. Muszę szybko znaleźć kogoś, kto by ją zastąpił.

A więc zamierza zostawić Katy z kimś obcym? Ta świadomość zaboląła Carole.

- A co ty robisz jutro? - zagadnął ją ni z tego ni z owego.

Spojrzała na niego pytająco.

- Pracuję. Dlaczego pytasz?

- Nie mogłabyś się zwolnić?

- Jak ty to sobie wyobrażasz, że ja... nie, to wykluczone - powiedziała dostrzegając w jego oczach błysk zastanowienia. - Ja się nie mogę zajmować dziećmi. Prowadzę sklep.

- Chyba możesz wziąć dzień wolny?

- Nie.

- Na pewno możesz. Tylko jeden dzień.

- Nie.

- No, Carole - zacznij ją kokietować. - Nie bój się. Tina nie sprawia żadnego kłopotu. A o Katy sama się martwiłaś. Będziesz

miała okazję się przekonać, ile traci jej matka. I dopilnować osobiście, żeby nic jej się nie stało... przynajmniej tego dnia.

- Nie znam się na pielęgnacji niemowląt! - wykrzyknęła Carole, odstawiając z impetem kubek na stół. - Jestem bizneswoman, nie rozumiesz?

- Dasz sobie radę bez problemów - uspokajała ją z całym uśmiechem. - Popatrz tylko, uspiłaś Katy, zanim zdażyłem tu z butelką. Wystarczy, że ją nakarmisz, zmienisz jej pieluszkę i wykupiesz...

- Wykapać! - krzyknęła.

Potrząsała głową.

- Nie bój się. Sam ją wykapię dziś wieczór.

- Nie mogę.

- Możesz. - Jego niebieskie oczy patrzyły przymilnie. - Proszę cię, Carole.

Łagodnie powtarzana prośba rozbroiła ją w końcu. Westchnęła. Jeśli jej dziwny stosunek do Chrisa o czymkolwiek świadczył, to Carole obawiała się, że pod jego delikatną presją obrabuje bank, gdyby mu na tym zależało.

- Ależ z ciebie manipulator - rzekła oskarżycielsko, wskazując na niego wymanikiowanym palcem.

- Wiem o tym - wyznał bez odrobiny skruchy. - Ale spróbuj zrozumieć moje położenie.

Rozdział piąty

W drodze do domu Carole wymyślała sobie od idiotek. Psycholog Chris Nicholas zna się na swojej robocie, pomyślała wjeżdżając na parking przed domem, w którym mieszkała od dwóch lat. Wie, jak postąpić, żeby skłonić ludzi do zwierzeń, i co zrobić, żeby ich podporządkować swojej woli. Weszła do mieszkania z westchnieniem. Nie było to uczciwe z jej strony oskarżanie go o to. Wiedziała, że nie. Mogła przecież powiedzieć „nie” na jego absurdalną propozycję, żeby następnego dnia została

z Tiną i z Katy. Powinna była powiedzieć „nie”. Ale nie powiedziała, a teraz zamartwia się, jak sobie poradzi.

Zrobiła sałatkę, której nie ruszyła, zadzwoniła do swojej zastępczyni i spytała, czy może zająć się jutro sklepem, a następnie włączyła telewizor, ale tylko po to, by stwierdzić, że nadawana audycja nawiązuje do zbliżających się świąt. Z jękiem wzięła pilota i zaczęła przełączać kanały. Piosenkarz country z towarzyszeniem chóru gimnazjalnego z dużym wigorem wykonywał „Dwanaście dni Bożego Narodzenia”. O co tu chodzi? - zastanawiała się skwaszona. Skąd się biorą te wszystkie programy? Czy je powielają gdzieś w jakimś hollywoodzkim studio? W końcu zdecydowała się na „Opowieść wigilijną” Dickensa, ponieważ i tak postanowiła zająć się tego dnia księgowością.

Oglądając przygody bohatera z duchami świąt przeszłych i obecnych, Carole ziewnęła i tęsknie pomyślała o łóżku. Oczywiście ją piekły. Kolumny liczb się zlewały - poczuła się nagle śmiertelnie zmęczona. To wszystko dlatego, że się tak zmęczyła przed wyprawą do Chrisa Nicholasa - pomyślała. Podparła głowę ręką, a w jej udręczonej wyobraźni pojawił się obraz Chrisa. Dlaczego niby miałyby o nim myśleć tęskniąc do łóżka? - przeszło jej przez głowę i Carole stłumiła kolejne ziewnięcie.

Rzuciła papiery na stolik do kawy, a jej głowa bardzo szybko upadła na poduszkę. Zaraz skończy robotę, tylko da odpocząć oczom...

- Carole. - Dzwonił Chris.

Zmusiła się, by otworzyć oczy. Była w domu... przed nią piętrzyły się książki z rachunkami sklepowymi, a ona leżała na kanapie, ale to nie była jej kanapa, i to nie był jej dom. Znajdowała się w sierocińcu. O co chodzi? - pomyślała, ponieważ usłyszała swoje imię wymówione głosem Chrisa.

- Chris? - odpowiedziała. - Gdzie jesteś?

- Tu.

Spojrzała w drugi koniec kanapy i rzeczywiście zobaczyła Chrisa. Stał, ubrany jak zwykle w swoje nędzne levisy i krzykliwą flanelową koszulę. Ale otaczała go jakaś dziwna poświata, która ją zdenerwowała.

- Co tu robisz? -jęknęła. - Co ja tu robię?

- Jesteśmy tu, ponieważ chcę ci pokazać coś w związku z Bożym Narodzeniem. ..i w ogóle z ludźmi.

- Przykro mi, ale mnie to nie interesuje. Wiem wszystko, co chcę wiedzieć.

- Może. Powinnaś jednak dowiedzieć się jeszcze kilku rzeczy. - Wyciągnął rękę. - Chodź ze mną.

Carole patrzyła na niego nieufnie.

- Dokąd idziemy? Dlaczego tak dziwnie wyglądasz?

- Chodź.

Z jakichś względów podała mu rękę i zaraz potem znalazła się pośrodku sali rekreacyjnej sierocińca. W rogu stało olbrzymie drzewko, a dokoła piętrzyły się dosłownie góry prezentów. Pan Nelson, dyrektor sierocińca, i pani Hardy, główna wychowawczyni, sortowali prezenty rozkładając je na kupki.

- Są święta, więc przygotowują prezenty dla dzieci - powiedziała Carole. - Co w tym dziwnego?

- Posłuchaj - rzekł Chris, gdy podeszli bliżej.

Carole złapała go za rękę.

- Stój! - szepnęła. - Zobaczą nas. Pani Hardy widzi wszystko.

- Nie mogą nas zobaczyć, Carole. Nikt nas nie zobaczy. Poza tym Evelyn Hardy zmarła dwa lata temu.

- Co? - wrzasnęła.

- Posłuchasz mnie wreszcie?! - krzyknął Chris rozdrażniony, kłacąc jej palec na ustach.

- O, proszę - mówił właśnie Tom Nelson podnosząc śliczną porcelanową lalkę, którą Carole dostała na swoje ósme święta. - To dla Carole.

- Czy nie jest piękna? - rzekła Evelyn Hardy. - Z pewnością będzie zachwycona.

Carole rzuciła Chrisowi nienawistne spojrzenie.

- Ta lalka była od pani Charmichael. Zawsze przysyłała wspaniałe prezenty na święta, ale czy kiedykolwiek w ciągu roku przyjechała odwiedzić któreś z nas? Czy kiedy pomyślała o tym, żeby spytać, czego nam potrzeba? Nigdy. Po prostu szła przed świętami do sklepu, kupowała stertę kosztownych prezentów i wyobrażała sobie, że do przyszłego roku jest kwita z Panem Bogiem.

Chris uniósł swoje jasne brwi.

- Wiesz na pewno, że tak było, co? Więc posłuchaj, posłuchaj uważnie...

- Aż trudno uwierzyć, że ona tyle dla nas robi - powiedziała pani Hardy ze smutnym uśmiechem na swojej ładnej twarzy. - Zwłaszcza teraz, kiedy musi płacić za leczenie.

Pan Nelson skinął głową.

- Ale tak jest, ja to wiem. Uczciwie co miesiąc przysyła czek, chociaż ciągle nie może przyjść i zobaczyć, ile dobrego robi dając te pieniądze.

- Szkoda, że ją te dializy całkiem unieruchomiły - powiedziała pani Hardy, z troską kiwając głową.

- Dializy? - powtórzyła jek echo Carole, patrząc na Chrisa.

- Tak jest - potwierdził Chris. - Mabel Charmichael była dializowana przez całe lata, ale mimo to regularnie dzwoniła do sierocińca i pytała Evelyn Hardy, co które dziecko chciałoby dostać. Jak myślisz, skąd mogła wiedzieć, że marzyłaś o tej porcelanowej laleczce? Chociaż nie mogła przyjść sama z wizytą, to przynajmniej starała się umilić wam święta. A Andy Franklin, który wam przysłał konia na biegunach, mieszkał aż w Tallahassee na Florydzie. I...

- Rozumiem, do czego zmierzasz - przerwała mu Carole z westchnieniem. - Źle ich osądzałam.

- Nie wszystkich - powiedział Chris. - Niektórzy rzeczywiście po prostu przysyłałi prezent na święta i potem przez cały rok nie myśleli o dzieciach. Tak jak ty.

- Co?

- Czy nie wysyłasz co roku czeku do sierocińca? - spytał wszechwiedzący Chris.

- Nno tak, oczywiście. Tyle przynajmniej mogę zrobić...

- A kiedy po raz ostatni byłaś tam z wizytą?

Zawsze wspomnienia z sierocińca wydawały się jej zbyt bolesne, by mogła tam pojechać, ale pytanie Chrisa obudziło w niej nagle nową świadomość.

- Ja... ja... - jąkała się.

- Ostatnim razem byłaś tam, kiedy na dobre opuszczałaś to miejsce. Czy nie mam racji?

- Tak, ale...

- Nie ma żadnych ale. Chodź, Carole. Chodźmy do Bradych...

Kiedy Carole się obudziła, na ekranie telewizyjnym nie było widać nic i rozlegały się tylko szумы. Bolał ją kark. Zaciskając zęby i tłumiąc jęk, z trudem przyjęła pozycję siedzącą. Zaspianym wzrokiem spojrzała na zegar na magnetowidzie. Była druga w nocy. Jeszcze tylko cztery godziny i musi wstać i jechać do Chrisa.

Chris. Myśl o nim przypomniła jej sen. Pamiętała, że obudziła się w sierocińcu i zobaczyła Chrisa jako ducha minionych świąt Bożego Narodzenia. Po epizodzie z Tomem Nelsonem i Evelyn Hardy zabrał ją... dokąd? Aha, tak. Do Bradych, do tamtej pary młodych ludzi, którzy, jak sobie kiedyś wyobrażała, mieli ją adoptować. Marcia Brady pakowała rzeczy Carole i płakała. Mąż próbował ją uspokoić zapewniając ją, że ją kocha i że chce ją mieć tylko dla siebie, przynajmniej na jakiś czas.

Carole doszła do wniosku, że może Marcia Brady mimo wszystko bardzo ją kochała.

W końcu Chris doprowadził ją do drzwi sierocińca, gdzie jakaś szesnastolatka jak mówiła Evelyn Hardy, znalazła na ulicy małą dziewczynkę, którą właśnie trzymała na ręku. Dziewczyna podała niemowlaka Evelyn. Czyż nie jest to najodpowiedniejsze

miejsce dla małej? Kiedy Evelyn poszła szukać Toma Nelsona, dziewczyna uciekła do pobliskiego lasu. Widzieli, jak siedziała skulona pod wielkim dębem, tonąc we łzach.

Carole zrozumiała teraz, że była to jej matka.

- Śmieszne! - wykrzyknęła zrywając się na równe nogi. Był to ostatecznie tylko sen. Jakieś głupie mrzonki, które wyległy się w jej umyśle pod wpływem rozmowy z Chrisem, zmęczenia i tego, że zasnęła w chwili, gdy w telewizji emitowano akurat „Opowieść wigilijną”. Nie znaczyło to nic, poza tym że przeszłość, święta i różne inne sprawy ciągle jeszcze miały dla niej wielkie znaczenie.

Poszła do swego pokoju, nastawiła budzik, zdjęła z siebie wszystko oprócz majteczek i wsunęła się do swego ogromnego łóża. Zgniotła poduszkę z przesadną siłą i ułożyła się na boku. Chris Nicholas doprowadził do tego, że serce waliło jej jak młotem. I potrafił ją nakłonić do opieki nad dzieckiem, chociaż wcale tego nie chciała. Pójdzie do niego i zajmie się Tiną i Katy, ale w żadnym razie ta jedna rozmowa z nim nie może zmienić jej oceny własnej przeszłości.

„Czy nie wysyłasz co roku czeku do sierocińca?” - głos Chrisa, prosto ze snu, zabrzmiał jej w uszach. - „A kiedy po raz ostatni byłaś tam z wizytą?”

- Daj mi spokój - powiedziała głośno. Te słowa wyparły jego głos z jej świadomości, ale zasnęła z niejasnym poczuciem własnej winy, a może i skruchy w sercu?

Poniedziałek, 28 listopada

Carole przyjechała na farmę dokładnie o siódmej trzydzieści. Ku jej zdumieniu Chris zdążył już wyjść do pracy. Kiedy Brian zaprowadził ją do kuchni, pomyślała, że Chris w sposób właściwy tchórzom wykreślił się wybierając to, co łatwiejsze. Słyszając odgłosy dochodzące zza zamkniętych drzwi, zaczęła się domyślać, co się tam dzieje. Brian popchnął wahadłowe drzwi otwierając je szeroko przed Carole, za którą kroczył Sebastian skrze-

cząc głośno „Proszę wejść”. W wielkim wesołym pokoju panował harmider i bałagan.

Jake siedział u jednego końca stołu na chybcika odrabiając lekcje. Lisa, z nienagannym makijażem, od niechcenia maczała kawałki naleśnika w syropie rozlanym na talerzyku. Każde z dzieci pozdrowiło ją z umiarkowanym zapałem. Mike przywitał Carole uśmiechem i propozycją:

- Chcesz naleśnika?

Dawid i Tad nie mogli się przywitać, ponieważ walczyli o to, kto pierwszy wypije swój sok owocowy.

Carole założyła, że Katy śpi w plecionej kołysce pod ścianą, chociaż nie wiedziała, jak to jest możliwe w tych warunkach.

- Jedz wreszcie te swoje naleśniki - warknął Brian, siadając obok wysokiego stołka Tiny. - No, prędzej - poganiał ją.

Tina potrząsnęła głową.

- Chcę, żeby ona mnie karmiła - powiedziała, wskazując na Carole.

- To jest panna Chapman - wyjaśnił jej Brian.

- Czy mogę ci dać buziaka? - spytała Tina. - Tata mnie nie pocałował.

Carole coś ścisnęło za serce.

- Tina! - wrzasnęła Lisa. - Tata się spieszył... powiedział nam, że coś się stało. I posłał nam wszystkim wspólnego całusa. A teraz daj spokój pannie Chapman.

- W porządku - powiedziała Carole, zbliżając się do wysokiego krzeselka Tiny. - Możecie mnie nazywać Carole. Tak będzie prościej.

- To świetnie - ucieszył się Brian. - A może byś ją rzeczywiście nakarmiła, Carole? Ja muszę jeszcze wziąć prysznic. Jestem spóźniony, bo szykowałem śniadanie.

- Oczywiście, że ją nakarmię.

- Dzięki - zawołał kierując się do drzwi. - Ratujesz mi życie.

Carole zajęła miejsce Briana i podała dziecku kawałek naleśnika. Mała uśmiechnęła się do niej w sposób, który tak bardzo

przypominał uśmiech Chrisa, że Carole zaparto dech i na chwilę przestało jej bić serce.

- Ale najpierw buziaka - nalegała Tina.

- Oczywiście - odparła Carole i nachyliła się do pulchnego policzka małej. Ku jej zdumieniu, Tina wyciągnęła pulchne rączki, jedną łapiąc za rękaw jedwabnej bluzki Carole, a drugą przysuwając do siebie jej twarz.

- Do licha, Tina, patrz, co robisz! - powiedział z oburzeniem Jake.

Carole cofnęła się i na swojej kosztownej bluzce zobaczyła lepki ślad rączki Tiny, razem z kawałkami naleśnika.

- Nic nie szkodzi. Naprawdę.

- Tina uprze - oświadczyła mała łapiąc serwetkę i przy okazji przewracając szklanę z sokiem. Zanim Carole zdążyła na to zareagować, sok pomarańczowy przelał się przez brzeg tacy prosto na jej kolana.

- Tina! - krzyknął chór czterech przerażonych głosów w idealnym unisono.

Machinalnie Jake sięgnął po garść serwetek i rzucił je w stronę Carole. Odwróciła wzrok od plamy na importowanych wełnianych spodniach za sto pięćdziesiąt dolarów i napotkała szeroko otwarte oczy Jake'a, w których czaił się strach przed karą, znacznie przewyższającą wykroczenie.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Ona nie chciała. To był wypadek.

- Przepraszam - zawtórowała mu Tina.

Carole patrzyła na Jake'a i przez głowę przemknęły jej wczorajsze słowa Chrisa. „Ojciec bił go bardzo często”. Serce ścisnęło jej się boleśnie. Jake bał się, że Carole zachowa się tak jak jego ojciec.

- Jesteś na mnie wściekła? - spytała Tina. Jej śliczne usteczka drżały, a szeroko otwarte oczy lśniły od łez.

Carole uśmiechnęła się uspokajająco do Jake'a biorąc od niego serwetki.

- Nie - zapewniła Tinę i zabrała się do wycierania rozlanego soku. - Nie jestem na ciebie wściekła.

Zauważyła wyraz ogromnej ulgi na twarzy Jake'a. Rozległo się wspólne głośne westchnienie wszystkich dzieci, do którego Carole dodała swoje.

Święci pańscy! W co ja się władowałam!

Rozdział szósty

Chris z uczuciem podniecenia wjechał na podjazd. Przed domem w dalszym ciągu stał samochód Carole. Ciekawe dlaczego? Dochodziła szósta i zapadł zmrok. Był przekonany, że Carole wróci do Bossier City, jak tylko starsze dzieci przyjdą ze szkoły. Tymczasem - nie; z jakiejś dziwnej przyczyny był z tego zadowolony. Usiłował nie zwracać uwagi na to, co mówił mu głos wewnętrzny - że Carole z pewnością ma najbardziej podniecające usta, jakie widział... i najzgrabniejsze nogi - i próbował myśleć o tym, jak dała sobie radę z dziewczynkami. Na próżno jednak.

Serce mówiło mu, że słusznie zrobił skłaniając ją delikatnie, by została na cały dzień z Tiną i Katy; zdrowy rozsądek ostrzegał, że ten plan może się obrócić przeciwko niemu. Tej pierwszej nocy w szpitalu wyczuwał wrogość w Carole, ale szybko się zorientował, że ta wrogość była skutkiem wewnętrznych urazów, ukrytych głęboko pod elegancką powierzchownością, którą okazywała światu.

Myślał o niej wiele przez następny tydzień. Była piękną kobietą, a on - zdrowym mężczyzną, który potrafił docenić urodę kobiet, mimo że nie miał wiele okazji, by się nimi cieszyć. Pomimo jej wrogości znów chciał się z nią zobaczyć, bowiem od śmierci Cathie żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia.

Był ciekaw, czy zdoła ją zachęcić, by się przed nim otworzyła i powiedziała, co ją gnębi, tyle miał jednak roboty wiążącej się z

przybyciem Katy i wypełnianiem obowiązków odkładanych na weekendy, że minęła niedziela, a on nie miał ani chwili, żeby o niej pomyśleć. Co chyba, doszedł do wniosku w poniedziałek, nie było takie złe.

Carole Chapman nie była kobietą jakiej potrzebował, a sądząc z jej złośliwej uwagi o jego sposobie ubierania się, i on nie był w jej typie. Ona była niezależną kobietą sukcesu, bizneswoman, kto wie, może nawet uprawiającą wolną miłość? On - policjantem poszukującym kobiety równie zwariowanej jak on sam, kogoś, kto miałby tyle miłości, żeby ją ofiarować nie tylko jemu, ale i osieroconym dzieciom, trojgu lub setce - dwa w prawo, dwa w lewo, to już bez różnicy.

Kiedy wszystko się uspokoiło po niedzielnej przygodzie z żabami i kiedy zobaczył Carole w swoim living roomie, w pierwszej chwili pomyślał, że przyszła go sprawdzić. Ponieważ jednak jej zainteresowanie Katy było najwyraźniej szczerze, nie miał nic przeciwko temu.

Ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że jednak się przed nim otworzyła; opowiedziała mu o swojej przeszłości. Doszedł do wniosku, że sprawił to nastrój chwili, że dom pełen dzieci wywołał bolesne wspomnienia. Poza tym wiadomo, że czasem łatwiej zwierzyć się obcemu niż komuś, kogo zna się dobrze.

Odniosł wrażenie, że niewiele osób wie, co Carole czuje i myśli o swojej przeszłości i o sobie.

To jasne, że z takim uporem dążyła do sukcesu materialnego nie tylko dla bezpieczeństwa, lecz także, by podnieść własną wartość - żeby stać się „w porządku”, ponieważ doświadczenia z przeszłości pozostawiły w niej głębokie przekonanie, że nikt jej nie kocha, że jest nikomu niepotrzebna.

Nade wszystko potrzebne jej było poczucie, że jednak jest kochana i potrzebna. Dlatego zaproponował, żeby przez ten jeden dzień zajęła się dziewczynkami. Nikt tak jak małe dzieci nie potrzebuje opieki, nikt tak bezinteresownie nie kocha jak one.

Chris otworzył drzwi i pomodlił się krótko, żarliwie, żeby jego podstęp się udał..

- Tata przyjechał! - wrzasnął Tad w chwili, gdy za Chrisem zamknęły się drzwi.

Dzieci zbiegły się do living roomu jak opiłki żelaza przyciągnięte magnesem. Chris ledwie słyszał dochodzący z kuchni płacz Katy.

- Tatusiu, musimy się wybrać do miasta po sukienkę dla mnie! - dopominała się Lisa.

Chris objął ją ramieniem i uściśnął.

- Może jutro, co? Ledwo żyję, kochanie.

- A ja dostałem piątkę - powiedział Mike, powiewając zeszytem.

- To wspaniale - rzekł Chris, głaszcząc go po czuprynie.

- Byliśmy dzisiaj w muzeum przyrodniczym, tato, i żebyś widział te węże, i potwory, i wszystko! - zawołał Tad, bardzo podniecony.

- Węże - poprawił go Dawid.

- Zamknij się, ty okularniku! - odciął się Tad, dając Dawidowi kuksańca pod żebra.

- Chłopcy, przestańcie się kłócić! - rzekł Chris, podnosząc ręce na znak, że się poddaje. - Dajcie mi chwilę spokoju! - Schylił się, podniósł Tinę, która ciągnęła go za spodnie, i wziął ją na ręce. - A jak się ma moja malutka dziewczynka? - spytał pocierając nosem jej zadarty nosek.

- Dobrze - chichotała, ciągnąc go za wąsy.

- Dajcie mi chwilę spokoju! - zaskrzeczał Sebastian, wieszając się do góry nogami na swoim drążku.

- Katy znów ma kolkę - oświadczył spokojnie Brian, który właśnie wyszedł z kuchni.

- Cudownie - odparł Chris stawiając Tinę na podłodze.

- Carole jest z nią w kuchni - dodał Brian.

- No, jazda - Chris przegonił dzieciaki, które rozbiegły się na wszystkie strony.

Żeby tak raz, jeden jedyny raz wrócić do domu, w którym panowałyby cisza - do stereotypowej fajki i kapci. Łyczek brandy i trochę dobrej muzyki, najchętniej w wykonaniu Davida Sanboma. Usiąść przed kominkiem z piękną kobietą... taką jak Carole. Zaklął w duchu. Upłynęło już sporo czasu od chwili, gdy umarła Cathie. Jego ciało zaczęło mu ostatnio przypominać o swoich prawach.

Śnij, Nicholas. Twój romantyczny scenariusz niezupełnie pasuje do życia, jakie wybrałeś.

Wyprostował ramiona szykując się, by stawić czoła, bałaganowi, jakiego spodziewał się w kuchni, ale widok, który ujrzał, sprawił, że stanął w progu jak wryty.

Trzymając w objęciach Katy, Carole spacerowała po biało-czarnych płytach posadzki. Zdjęła buty i przez dziurę w rajstopach wystawał jej czerwony polakierowany paznokieć. Jedwabna bluzka, która musiała kosztować majątek, wyglądała jak szmata, na rękawie widać było wielką plamę. Eleganckie spodnie też były poplamione na pomarańczowo. Poprzednio porządnie uczesane włosy Carole teraz ściągnięte były do tyłu w mały, zabawny, sterczący na karku ogonek. Nieskazitelny makijaż zamienił się w kilka smug tuszu rozmazanych wokół zmęczonych oczu.

Obróciła się nagle i zobaczyła na progu Chrisa. Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Jak się miewasz? - spytał idąc ku niej.

Skinęła głową, ale dolna warga drżała jej tak samo jak Tinie, kiedy mała próbowała powstrzymać się od płaczu. Chris zwalczył w sobie chęć zamknięcia ich obu z Katy w swoich ramionach.

- Z małą jest coś nie w porządku - powiedziała drżącym głosem.

- Wiem. Pewnie ma kolkę.

- Płacze od godziny i nie mam pojęcia, co z nią zrobić. Nie chce butelki. Nie mogę patrzeć, jak się męczy. - Głos jej się łamał od płaczu. - Tłumaczyłam ci, że ja się do tego nie nadaję.

Chris patrzył na skrzywioną twarz Carole i na jej opuszczone bezradnie ramiona. Łzy wypełniły jej ciemne oczy i zaczęły spływać po policzkach. Przestał się zastanawiać i przeszedł do działania. Od Carole dzieliło go jakieś sześć kroków. Bez słowa zrobił dokładnie to, czego obiecał sobie nie robić: wziął ją w ramiona i przytulił wraz z Katy wciśniętą między nich dwoje, po czym swoją wielką dłonią ujął jej koński ogonek i przytulił głowę Carole do swojej piersi, a następnie zsunął z jej włosów gumkę i zaczął masować napięte mięśnie u podstawy czaszki. Jego usta szeptały w słodko pachnące włosy Carole słowa pocieszenia.

- Ciii. Nie przejmuj się, kochanie. Wszystko będzie dobrze.
- Strasznie mi przykro.
- To nie twoja wina. Mała codziennie ma o tej porze lekką kolkę.

Carole podniosła zalaną łzami twarz.

- Naprawdę? Myślałam, że popełniłam jakiś błąd. Narobiłam w pieluchy, więc musiałam ją wykapać, i bałam się, że wyrządziłam jej krzywdę.

- Nic jej nie zrobiłaś. Dzieci są wytrzymalsze, niż sobie wyobrażasz.

Puścił ją i podszedł do zlewu, gdzie wisały papierowe ręczniki. Zerwał jeden i wytarł Carole twarz. Delikatnie, jakby miał do czynienia z dzieckiem w wieku Tiny, wytarł jej łzy. Potem uśmiechnął się i ciężar spadł Carole z serca.

- Chodź, siadaj - powiedział, zapraszając ją, by usiadła na krześle przy stole. - Mam jakieś krople i zaraz jej dam. Powinno być ci o nich powiedzieć, ale wezwali mnie dzisiaj tak wcześniej, że z pośpiechu zapomniałem. Nie ruszaj się stąd. Za chwilę wrócę.

Nie minęła minuta, kiedy wrócił z buteleczką. Wziął od Carole Kary i zręcznie wlał przepisaną ilość kropeł maleństwu do buzi.

- No już cicho, cicho - przemawiał do małej uspokajająco, tuląc ją w ramionach.
- A co teraz? - spytała Carole wycierając dłonie w spodnie.

- Musimy poczekać, aż lekarstwo zacznie działać - powiedział Chris i siadł w fotelu bujanym obok pieca, w którym płonęły polana.

- Och.

Kołysał Katy, głaszcząc ją po plecach i mrużąc różne uspokajające słowa, zupełnie tak jak przed chwilą do Carole. Carole przetarła oczy i kiedy spojrzała na Chrisa, stwierdziła, że przygląda jej się badawczo.

Zaczerwieniła się i uniosła rękę do włosów.

- Muszę strasznie wyglądać.

Potrząsnął głową.

- Nie, po prostu jesteś zmęczona. Przykro mi, że miałaś taki ciężki dzień.

Założyła kosmyk włosów za ucho i wzruszyła ramionami.

- Nie było tak źle. Nie powiem, że było wspaniale, ale z pomocą Tyny dawałam sobie radę.

- Potrafi już pomóc przynosząc różne rzeczy - powiedział Chris.

- Jest aniołem. Nie miałam pojęcia, że takie dwuletnie małństwo może być aż tak bystre.

- Tak, jest bystra. Dzięki. A jak sobie radziłaś z Katy, to znaczy do wieczora?

- Chyba nieźle - powiedziała z wahaniem i spojrzała na niego. - Zastanawiałam się...

- Nad czym?

Stała obok bujanego fotela. Wyciągnęła rękę i pogładziła delikatnie jasne włoski Katy.

- Czy myślisz, że brak jej matki? I czy ona wie, że my nie jesteśmy jej rodzicami?

- Do pewnego stopnia chyba tak - powiedział. - A czemu pytasz?

Carole przeniosła wzrok z Katy na Chrisa.

- Nie chcę, żeby pamiętała i żeby ją to bolało. Nie chcę, żeby dorosła i czuła się tak jak ja... - przerwała - ... że jej matka... że nikt jej nie kocha.

- Na pewno tak nie będzie - uspokoił ją Chris - ponieważ jest ktoś, kto ją kocha.

- Kto? - spytała Carole.

- Ty. Ja. Dzieci.

Odwróciła się i skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Ja jej nie kocham. Prawie jej nie znam.

- Dzieci nie trzeba znać, żeby je kochać. Po prostu się je kocha.

- Może niektórzy tak. Ale ja nie.

- To dlaczego się o nią martwisz? - spytał. - Dlaczego się tak denerwowałaś, że coś jest z nią nie w porządku?

Carole rzuciła na niego okiem przez ramię.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek cierpiał. Ale również przyjmij do wiadomości, że nie mogę opuszczać pracy, żeby się nią zajmować. Mam swoje własne życie.

- Boisz się ją kochać, prawda, Carole? Boisz się, że gdyby ją pokochała, to mogłaby się zjawić jej matka i ją zabrać albo mała zostałaby gdzieś wysłana i nigdy więcej byś jej nie zobaczyła. Czy nie mam racji?

Carole napotkała jego wzrok. Jest bystry, pomyślała. Potrafi przejrzeć człowieka na wylot. Ma jednak rację. Zupełną rację.

- Masz - powiedziała niemal prowokacyjnie. - Dokładnie tego się obawiam.

- Chodź tu - powiedział.

- Co?

- Chodź tu. Chcę ci coś pokazać.

Z ociąganiem się Carole podeszła bliżej. Chris położył sobie śpiącą teraz Katy na kolanach.

- Spójrz na nią. Spójrz na nią i powiedz, że nie chcesz jej kochać.

Carole spojrzała. Jasna buzia Katy była zarumieniona od płaczu, a rzęsy leżały na policzkach jak małe wachlarzyki. Paznokietki miała niewiarygodnie maleńkie. Była śliczna, malutka i bezbronna.

Chris sięgnął po jedną z dłoni Carole.

- Daj się ponieść uczuciom, Carole. Otwórz się i przyjmij ból, tak jak się przyjmuje radość.

- Po co? - krzyknęła, wrywając rękę z jego niepokojącego uścisku. - Dlaczego miałabym narażać się na ból?

- Ponieważ zawsze, ilekroć jakąś część swojej osobowości chronisz przed bólem, tym samym pozbawiasz się możliwości kochania i odczuwania radości. A jesteś zbyt piękną i wrażliwą kobietą, by nie żyć pełnią życia i nie kochać.

Piękna? On ją uważa za piękną? Od tak dawna nie słyszała komplementu od mężczyzny, że przez chwilę była wstrząśnięta. Wrażliwa? Nigdy nie myślała o sobie, że jest wrażliwa. Lecz od jakiegoś czasu zakradło się w jej duszę podejrzenie, że czegoś w jej życiu brakuje, że jej życie nie jest pełne. Sądziła, że to sprawa mężczyzny, zdrowego normalnego życia płciowego. Być może częściowo miała rację. Może była to sprawa mężczyzny... ale nie tylko seksu, przede wszystkim miłości... i dzieci. Myśl o tym, że musi wrócić do swego samotnego mieszkania, nagle wydała jej się odpychająca.

Trzymaj się, Carole. Ten człowiek żyje z prania mózgu. Tylko dlatego, że ci pochlebił i że wychowuje całą gromadkę dzieciaków, ty musisz się rozklejać.

- Myślę, że powinnaś zainteresować się jeszcze czymś poza swoim sklepem - powiedział Chris. - Robić coś, czego do tej pory nie robiłaś... rozejrzeć się, co świat ci może zaoferować. I próbuj pokochać kogoś, a zobaczysz, że nie będziesz tego żałowała.

- Pokochać kogo? - spytała.

- A chociażby moje dzieci, na początek. Czy w przyszłą sobotę pracujesz?

Carole doznała uczucia *deja vu*. Czyżby znów ją zamierzał poprosić o opiekę nad dziećmi?

- Nie.

- To w takim razie przyjedź, żeby pomóc nam znaleźć odpowiednią choinkę.

Choinkę! Nie potrafiła ukryć zdumienia. Nigdy nie miała prawdziwej choinki. Ale ze względu na dzieci Chris oczywiście musi mieć choinkę i pewnie musi kupić górę prezentów. Znowu pomyślała o swoim pustym mieszkaniu.

Przypomniał jej się niedawny sen, w którym Chris ukazał jej święta z przeszłości. Przez myśl przemknęli ludzie z sierocińca. Ogarnęło ją poczucie winy i wstyd, że robi dokładnie to, o co oskarżała innych; zaczerwieniła się. Zupełnie bez złych intencji stała się Mabel Charmichael lat osiemdziesiątych, tylko że ona, Carole, nie miała nic na usprawiedliwienie tego, że nie odwiedza dzieci w sierocińcu. Nic, oprócz swojego lęku. Może powinna starać się jakoś naprawić to zaniedbanie? Byli tam dla niej dobrzy. Gdyby przewyciężyła swoje obawy, może mogłaby pomóc tamtym ludziom. Mimo wszystko, to nie ich wina, że nikt nie chciał jej adoptować... czy że została tam podrzucona. Wały płomyk nadziei rozświetlił mroki jej serca.

- No - powiedział Chris - co ty na to? Przyjedziesz do nas, wyrwiesz się od swoich zwykłych zajęć?

Zwykłe zajęcia. Tak. Dokładnie tylko w tym tkwiła. Szła do pracy i wracała do domu, samotnie kładąc się do łóżka. A nazajutrz było dokładnie tak samo. Może powinna się wybrać na tę jego rodzinną wycieczkę. Nie przyzna, że Chris ma rację, że powinna kogoś pokochać, tego byłoby już trochę za wiele... ale chyba nic jej się nie stanie, jeżeli się gdzieś wybierze z tą szaloną bandą.

Rozdział siódmy

Środa, 30 listopada

Carole zeszła po szerokich schodach sierocińca Fairhope i udała się w stronę parkingu, wypełniona poczuciem zadowolenia, jakiego się nie spodziewała. Ku własnemu zaskoczeniu wzię-

ta sobie dzień wolny i przebyła ponad sto dwadzieścia kilometrów, aby odwiedzić dom dziecka, w którym się wychowała.

Powtarzała sobie, że gest ten nie ma nic wspólnego z sugestią Chrisa, że powinna coś zrobić ze swoim życiem lub obdarzyć kogoś uczuciem. Ta decyzja wzięła się z jej snu i z tego, co w tym śnie powiedział jej Chris: że sierocińcowi coś się od niej należy. Nigdy nie znosiła obłudy, ale też nigdy nie łączyła tej wady ze sobą. Sen uświadomił jej, że praktycznie nie jest lepsza od ludzi, których obwiniała o to, że nie myślą o innych.

Ona się troszczy o innych i dlatego posyła pieniądze. Nie odwiedzała sierocińca, ponieważ stworzyła sobie nowe życie i nie chciała, żeby cokolwiek przypominało jej cierpienia i rozczarowania dzieciństwa.

Tak myślała jednak, zanim znalazła Katy. Zanim spotkała Chrisa i jego dzieciaki. Mimo tego że dzięki determinacji i ciężkiej pracy osiągnęła sukces życiowy, mściwa przeszłość dalej się za nią ciągnęła. Ostatnio - czy był to obraz zaróżowionej od snu twarzyczki Katy, czy wspomnienie uśmiechu Mike'a - w każdym razie coś powiedziało Carole, że w imię lepszej przyszłości musi najpierw dojść do porozumienia z własną przeszłością.

I tak wybrała się do domu dziecka Fairhope.

Pierwsze kroki skierowała do budynku administracyjnego, gdzie dalej urzędował Tom Nelson. Mimo że oficjalnie był na emeryturze, dwa razy w tygodniu przychodził jako konsultant. Przywitał Carole u drzwi i poprosił, żeby - skoro już jest dorosła - mówiła do niego Tom.

Ponieważ była to środa, starsze dzieci były w szkole, więc pan Nelson wziął Carole do przedszkolaków i jeszcze młodszych dzieci. Zmartwiła ją ich wielka liczba, ale przynajmniej tym dzieciom w wielu ważnych sprawach się poszczęściło. Jak to Chris powiedział, miały przynajmniej dach nad głową i trzy razy dziennie dostawały jeść. Dzieci wychowujące się na ulicach albo żyjące w rodzinach alkoholików lub narkomanów z pewnością bardziej zasługiwały na litość.

Przechodzili od jednego budynku do drugiego. Tom Nelson pokazywał Carole, co odnowiono, co dobudowano, cały czas przywołując wspomnienia. Kiedy tak rozmawiali i śmieli się, Carole nagle z pewnym zdumieniem zdała sobie sprawę, że w Fairhope było jej mimo wszystko zupełnie dobrze. W tamtych czasach jednak czuła się tak samotna i zależniona, że nie mogła w pełni cieszyć się miłymi chwilami i doceniać jakiegokolwiek korzyści.

Teraz przypomniawszy jej się, jak to wraz ze starszymi dziewczynkami co roku pomagała w kuchni, przygotowując wypieki na Boże Narodzenie. Wykrawały setki ciasteczek i przybierały je kolorowym lukrem albo maczkiem cukrowym. A jak się przy tym zaśmiewały... W szkole podstawowej robiły koszyki, wkładały do nich różne dziwne przedmioty i ukradkiem podrzucały je na progu pokojów opiekunek.

Wspominała też pierwsze tańce, kiedy to wraz z Evelyn Hardy do północy przerabiały jakąś używaną sukienkę. Potarćówka się udała, a ona, Carole, wyglądała naprawdę ślicznie.

Wracając do samochodu ze zdumieniem potrząsała głową myśląc o dniu pełnym wrażeń. Była w Fairhope, dopóki starsze dzieci nie wróciły ze szkoły, i dała się Tomowi namówić, żeby zjeść z nimi obiad. Po modlitwie Tom wstał i przedstawił ją dzieciom, powiedział, że Carole też jest wychowanką Fairhope i, proszę, do czego doszła własną pracą. Zawstydzona i jednocześnie dumna, chcąc dowieść swojej więzi z obecnymi mieszkańcami Fairhope, zgłosiła się sama na dyżurną przy wydawaniu posiłków. To dopiero była zabawa: Carole siedziała przy długim stole, przysuwając półmiski z mięsem i dzbanki z lemoniadą w stronę łapczywie wyciągniętych rączek. Kiedy półmiski i dzbanki zostały opróżnione, zadaniem Carole było bieganie do kuchni po dokładki.

Po jednej z takich wypraw oparła się łokciami o stół rozmawiając z chłopcem siedzącym naprzeciwko i nagle całą jadalnię

wypełnił śpiew setki głosów, rozległa się piosenka, którą Carole, jak sądziła, dawno już zapomniała:

„Carole, Carole, nie trzymaj łokci na stole, nie trzymaj łokci na stole, tego uczą w naszej szkole.”

Carole zarumieniła się i roześmiała: poczuła się jedną z wychowanek Fairhope.

Przed wyjściem chciała zapytać Toma o Bradych, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Jakie to ma teraz znaczenie. Jej odwiedziny były faktem godnym zapamiętania i obiecała sobie, że je wkrótce powtórzy. Kiedy wyjeżdżała swoim czerwonym CRX przez bramę Fairhope kierując się w stronę Bossier City, ściemniło się i Carole nie miała wątpliwości, że to, co zrobiła, było bardzo, ale to bardzo dobre.

Sobota, 3 grudnia

Dzień wstał chłodny, rześki i słoneczny. Carole kręcąc się po plantacji choinek była zadowolona, że włożyła ciepłe spodnie i czerwony wełniany zakiet. Jak na grudzień, pogoda była bardzo dobra i wybieranie choinki też było przyjemne. Żałowała tylko, że Katy i Lisa, którą bolało gardło, nie mogły brać w tym udziału.

We czwartek po południu Lisa czuła się jeszcze zupełnie dobrze. Carole właśnie obsługiwała klientów, kiedy podniósłszy głowę zobaczyła, że do „Mężczyzny w Każdym Calu” wchodzi cały klan Nicholasów. Przyjechali kupić sukienkę dla Lisy i wybrać coś dla Jake'a, który po raz pierwszy w życiu szedł na zabawę urządzaną przez kościół z okazji Bożego Narodzenia. Z Lisa poszło kiepsko, ale za to Carole znalazła coś odpowiedniego na pierwszy bal dla Jake'a. Po czym wszyscy w doskonałych humorach udali się do baru, dokąd Chris zaprosił ich na obiad.

Carole nie pamięta, kiedy po raz ostatni tak się śmiała, żartowała i kiedy czuła się tak dobrze w towarzystwie innych ludzi.

Jednak miała mieszane uczucia, gdy dowiedziała się, że na trzy dni przed świętami przyjeżdżają z Dallas rodzice Chrisa i że jego matka przygotowuje tradycyjną wieczerę wigilijną, z pieczo-

nym indykiem i ze wszystkimi dodatkami. Oczywiście cała rodzina czekała niecierpliwie na święta; tylko Carole ogarnął jakiś smutek.

Dla niej święta oznaczały samotny obiad we własnym pustyni mieszkaniu. W ten sposób właśnie spędzała wszystkie swoje święta od czasu, gdy opuściła sierociniec. Przynajmniej unikała koszmarnego szafu zakupów, jak sama sobie wmawiała, i nigdy dotychczas jej to nie przeszkadzało. Co się z nią stało teraz?

- Hej, popatrzcie! - krzyknął Brian, wrywając Carole z zamyślenia. Obaj z Jake'iem przepychali się wśród rzędów drzewek, niosąc piłę i miarkę.

Chris pomachał chłopcom i zwrócił się do Carole:

- Cieszę się, że wróciłaś- powiedział.

Popatrzyła na niego osłaniając oczy przed oslepiającym słońcem. Serce zaczęło jej bić mocniej na jego widok; nie mogła złapać tchu. Chris Nicholas był niesłychanie przystojnym mężczyzną, a ona za dużo czasu poświęciła w zeszłym tygodniu na to, żeby o nim myśleć.

Chociaż nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek dotąd czuła coś podobnego, swój stan porównywała do czegoś, co musi odczuwać nastolatka, której chłopak zawrócił w głowie. Zdecydowanie nie brała pod uwagę, że mogłoby to znaczyć coś więcej. Bała się spędzić z nim cały dzień, a jednocześnie nie mogła się doczekać, kiedy nadejdzie sobota. A teraz, gdy nadeszła, Carole nie wiedziała, co zrobić z tym fantem.

- Co masz na myśli, mówiąc, że wróciłam? - spytała.

- Byłaś tu ciałem, ale duchem przebywałaś gdzieś na innej planecie. Wiele bym dał, żeby poznać twoje myśli.

Potrząsnęła głową. Chris był i tak aż za dobry w czytaniu myśli. Gdyby wiedział, że Carole interesuje się nim jako mężczyzną, to by chyba umarła ze wstydu. I chociaż Chris jej się spodobał - oczywiście jedynie w sensie fizycznym - to przecież z jego strony mogła liczyć wyłącznie na uprzejmość. Bo Chris to wspaniały, uprzejmy człowiek. Ratownik.

- Nie ma o czym mówić - powiedziała. - Po prostu... po prostu tak sobie myślałam o różnych rzeczach.

Chris wyciągnął rękę i odsunął z jej ust kosmyk włosów. Ten dotyk, tak bardzo subtelny i powolny, wzbudzał w Carole uczucia, których wolałaby w ogóle nie doznawać. Z trudem oparła się chęci przytrzymania jego ręki przy swoim policzku i poproszenia, by jej wyjaśnił, co się z nią dzieje.

- Hmm - powiedział. - To brzmi bardzo poważnie. A my wcale nie chcemy być poważni. Jesteśmy tu po to, żeby ci pokazać, że wybieranie choinki może być świetną zabawą i że opiekowanie się ośmiorgiem dzieci to rzecz prawie normalna. Tak że koniec z poważnymi myślami, zgoda?

- Zgoda. - Carole uśmiechnęła się niepewnie.

Przez chwilę wydawało się, że Chris nie może oderwać od niej wzroku. Jego niebieskie oczy pieściły jej twarz, spoczywały na ustach. Carole wiedziała, że to głupia myśl, ale wyobraziła sobie, że czuje muśnięcie jego ust na swoich. Mimo woli zwilżyła wargi językiem. To jak gdyby przerwało czar, któremu się poddali. Z sercem wezbranym czułością, Chris powiedział do Tiny, którą nosił mu barana:

- Chodźmy, kochanie, szukać choinki.

Carole zaskoczona patrzyła, jak Chris się odwraca i rusza w stronę Briana i Jake'a. Wiedziała, że mówił do Tiny, ale przecież patrzył jej w oczy.

- To najładniejsza choinka, jaką kiedykolwiek mieliśmy! - powiedziała Lisa dwie godziny później.

- To prawda - zgodził się z nią Chris.

Carole siedziała wygodnie oparta, z Tiną na kolanach, podziwiając wynik ich trudu. Brian i Jake wybrali idealną choinkę, po czym, pracując na zmianę, odpiłowali kawałek pnia u dołu. Następnie przy pomocy Chrisa przywiązali drzewko na dachu samochodu. Wreszcie przywieziono choinkę do domu, żeby ją ubrać.

Lisa pomogła Carole zrobić kanapki, a w tym czasie chłopcy umocowali drzewko w stojaku i rozmieścili światełka. Po posiłku wszyscy razem zajęli się ubieraniem choinki - we wszystko, co było w pudle: od własnej roboty papierkowych łańcuchów do wspaniałej kryształowej kuli. Sebastian chodził tu i tam, wprowadzając ogólne zamieszanie, i skrzeczał: „Przeleciały trzy pstry prze-pió-rzy-ce...”

- Chcę coś zawiesić! - krzyczała Tina, która też pragnęła wziąć udział w zabawie.

- Jesteś za mała! - powiedział Tad.

- Wcale że nie, prawda, tato?

- Oczywiście, że nie - odparł Chris wyciągając z pudełka na zabawki małego drewnianego misia. - O, to możesz zawiesić. - Podniósł Tinę, dał jej misia i pokazał, gdzie zaczepić haczyk. - To jest miś, którego kupiła ci mama, zanim się urodziłaś...

- Ja nie mam mamy - przypomniała mu Tina kręcąc główką. - Powiedziałeś, że poszła do nieba.

Wszystkie oczy zwróciły się na Chrisa.

- To prawda - odparł głosem nieco bardziej przytłumionym niż zwykle. - Poszła do nieba, ale zostawiła mi ciebie, żebym cię kochał.

Tina starannie powiesiła misia swoimi tłustymi łapkami. A następnie popatrzyła na ojca szeroko otwartymi niebieskimi niewinnymi oczkami.

- A Jake ma mamę.

- Tak.

Tina przytknęła rączki do policzków Chrisa.

- Ja też chcę mieć mamę - powiedziała. - Proszę cię, tato.

Carole poczuła, jak ją ściska w gardle.

- Proszę cię, tato - zaskrzeczał Sebastian, akurat w porę odwracając uwagę od smutnej prośby Tyny.

- Patrzcie - zawołał Tad wskazując na choinkę. - Sebastian jest najlepszą ozdobą na czubek! - Wszystkie oczy zwróciły się na papugę, która rzeczywiście ulokowała się na samym czubku choinki. Sebastian siedział kiwając łebkiem, mrugając, zupełnie

jakby się kłaniał, czym wywołał wybuchy serdecznego śmiechu. Nawet Tina zachichotała, zapomniawszy od razu o swojej prośbie.

- A ty co sobie właściwie myślisz? - spytał Brian, biorąc się pod boki.

- ... trzy pstre prze-pió-rzy-ce... - zaskrzeczał ptak.

Wyczyn Sebastiana jak zwykle rozbawił wszystkich.

Kiedy śmiechy ucichły, Tina zażądała, żeby Chris pozwolił jej wrócić do Carole. Kiedy Carole brała małą z rąk ojca, napotkała wzrok Chrisa.

- Tina bardzo się do ciebie przywiązała - rzekł Chris. I dodał szeptem: - A wszyscy chłopcy też mają do ciebie słabość. Nawet ja.

- Wszyscy? - spytała. - Nawet ty?

- Wszyscy.

- Myślałam, że Brian ma swoją sympatię.

- Ma, i Jake też, ale to nie znaczy, że nie mogą lubić również i ciebie. Myślę, że podobały im się twoje rady jak powinni się ubierać i w ogóle. - Uśmiechnął się.

- Oo - kąciki ust Carole uniosły się w lekkim uśmiechu. - Obawiam się, że moja znajomość męskiej natury jest bardzo słaba.

- Trzymaj się z nami, to ją od razu lepiej poznasz - rzekł Chris zagadkowo.

Trzymaj się z nami. Bóg świadkiem, że chciała, ale nie wiedziała, do czego to wszystko doprowadzi. Nawet nie potrafiła powiedzieć Chrisowi o swojej wizycie w Fairhope. Miała wrażenie, że bardzo dobrze zrozumiałby jej uczucia. Zrozumiałby ulgę, jaką jej ten wypad przyniósł, i cieszyłby się z przemian, jakie w niej zachodziły.

Ale ona sama nie była taka pewna, czy to dobrze, że zaczęła się zmieniać. Chris Nicholas wtargnął w jej życie i przewrócił je do góry nogami. Sprawił, że zaczęła myśleć i stawiać czoło sprawom, z którymi nie sądziła, że potrafi sobie poradzić. A co będzie, jak on przestanie ją „ratować”? Co się stanie, jak już zabraknie lęków

z przeszłości? Czy nadal będzie mu potrzebne jej towarzystwo i jej przyjaźń?

Ta myśl przepełniła ją nagłym, niewytłumaczalnym smutkiem. Sama nie była pewna, czy chciałaby przyjaźni Chrisa. Obawiała się, że to uczucie, mimo wysiłków z jej strony, mimo jej starań, pomału zacznie zmieniać się w coś, o czym bała się nawet pomyśleć.

Rozdział ósmy

Wtorek, 6 grudnia

- „Mężczyzna w Każdym Calu”. Mówi Carole Chapman. Czym mogę służyć?

- Cześć.

To ciche pozdrowienie wywołało w niej dreszcz radości.

- Cześć - odpowiedziała niemal bez tchu. - Jak się masz?

- Pomijając to, że tonę w papierach, czuję się świetnie - powiedział Chris. - A co u ciebie? Czy zaobserwowałaś jakieś zgubne skutki dnia spędzonego w zwierzyńcu Nicholasa?

Carole roześmiała się wesoło i zaprzeczyła; nie, nie było żadnych zgubnych skutków.

- Pracujesz dziś wieczór? - spytał.

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy chcesz, żebym posiedziała z dziećmi, czy nie - odparła.

Roześmiał się.

- Nie, nie chcę, żebyś zaopiekowała się dziećmi. Chcę cię zaprosić na kolację.

- Na kolację? - powtórzyła jak echo, nie mogąc ukryć zdumienia.

- Tak.

- No to naturalnie nie pracuję i bardzo chętnie przyjdę.

- Dobrze. Może być o wpół do siódmej?

- Świetnie.
- A więc do zobaczenia.

Carole odłożyła słuchawkę, ale niepewny uśmiech nie scho-
dził jej z twarzy.

- Lasagne była cudowna - powiedziała Carole, gdy wraz z Chrisem piła kawę w living roomie, sprzątanie zostawiając dzieciom.

- Miło mi. Może kiedyś zechcesz się zrewanżować.

Carole poczuła się zakłopotana.

- Chybabym nie umiała nakarmić tylu osób.

Chris uśmiechnął się znad filiżanki.

- No, to spróbujemy we dwoje.

Zmieszana jeszcze bardziej niż dotychczas, Carole odstawiła filiżankę na stolik i zapadła się w fotel stojący na wprost kanapy.

- To by... to by było miło.

Wyczuwając jej zakłopotanie Chris powiedział:

- A może przedtem poszłabyś z nami na jasełka do szkoły? Grają tam też Tad, Mike i Dawid.

- Kiedy to będzie? - spytała. - Jeżeli nie będę akurat pracować, to z przyjemnością pójdę.

- W piątek, o wpół do ósmej wieczorem.

- Mam wtedy wolne, więc...

- Tatusiu - przerwała im Lisa od drzwi. - Czy mogę zamienić z Carole parę słów?

- Jasne - odparł Chris. - Wejdz, proszę.

Lisa usiadła obok ojca i zwróciła się poważnie do Carole.

- Muszę cię o coś spytać w sprawie fraka Kyle'a. Czy z wyborem fasonu i koloru powinienem poczekać, aż ja dostanę suknię...? - tu Lisa wymownie spojrzała na ojca.

Carole skinęła głową.

- Tak będzie najlepiej, o ile nie kupi tradycyjnie czarnego. Czarny pasuje do wszystkiego, obojętne, co włożysz ty.

Lisa wstała z wyrazem ulgi na twarzy.

- Dzięki. Byłam pewna, że ty będziesz wiedziała. Powiem Kyle'owi.

- Chwileczkę, panienko - rzekł Chris. - Myślę, że powinnaś uczciwie powiedzieć Carole, że odwiedziliśmy wiele sklepów w poszukiwaniu sukni dla ciebie, ale jak do tej pory, nie znaleźliśmy nic odpowiedniego.

- To prawda - przyznała Lisa obejmując Chrisa i całując go w policzek. - Jest pan równym facetem, panie Nicholas.

- Dziękuję - odrzekł Chris sucho. - A teraz idź i skończ zmywanie, to ja się tymczasem zajmę naszym gościem.

Lisa rzuciła mu domyślne spojrzenie, a następnie popatrzyła na Carole.

- Ależ oczywiście - powiedziała ruszając w stronę kuchni.

Piątek, 9 grudnia

Szkolna sala gimnastyczna była pełna. Wszystkie miejsca były już zajęte, a rodziny aktorów hałaśliwie dyskutowały o przedstawieniu. Zgodnie z programem, odbitym na powielaczku, sztuka nosiła tytuł „Wizyta na biegunie północnym”. Część dzieci jako chór recytatorów mówiła czterowiersze o różnych zabawkach, które „ożywały” za sprawą innych przebranych dzieci.

Biorący udział w recytacjach Dawid dojrzał Chrisa wraz z Carole i pomachał im ręką. Roześmieli się, a potem entuzjastycznie powitali Tada, który wraz z innymi malcami przy akompaniamencie „Marsza ołowianych żołnierzyków” wszedł na scenę w pełnym wojskowym rynsztunku.

Błyskający światłami Mike był wspaniałym robotem.

Po skończonym przedstawieniu, kiedy podawano w bibliotece napoje orzeźwiające, uszczęśliwieni chłopcy podbiegli do Carole i Chrisa. Nie mogli się doczekać, kiedy przedstawią Carole swoim nauczycielom, którzy spoglądali na tamtych dwoje tak samo wymownie jak przedtem Lisa. Carole poczuła się speszona,

ale szybkie zerknięcie na Chrisa upewniło ją, że jest nieźle ubawiony domniemaniami nauczycieli.

Wspomnienie wesołej miny Chrisa towarzyszyło Carole aż do McDonalda, dokąd wzięli chłopców na koktajl mleczny. Czyżby wszyscy uważali ją i Chrisa za parę? Czy jej rozwijające się uczucie do niego jest aż tak widoczne? Wstrząsnęło nią to i przyrzekła sobie, że będzie je staranniej ukrywała.

Sobota, 10 grudnia

Carole wstała przed wschodem słońca i zagniotła wielką porcję ciasta na ciasteczka, które miały być prezentami dla przyjaciół wszystkich dzieci. Wyposażona w foremki do wykrawania, farby do ciastek, dwie torebki cukru pudru i wszelkiego rodzaju ozdobną „konfekcję” wybrała się do Nicholasów.

Otworzył jej Chris bez koszuli. W jednej ręce trzymał filiżankę kawy, drugą zaś z roztargnieniem głaskał ciemny gąszcz włosów porastających jego szeroką klatkę piersiową i płaski brzuch. Carole usiłowała zachowywać się swobodnie, ale udawanie, że nie zauważa ruchów jego ręki wymagało od niej ogromnego wysiłku woli.

- Cześć - powiedział, odsuwając się, żeby ją przepuścić. - Widziałem, jak szłaś alejką, i pomyślałem sobie, że może ci się to przyda. - Wyciągnął w jej stronę filiżankę kawy.

- Dzięki. - Wzięła kawę i wręczyła Chrisowi ciężką torbę.

- Czy na pewno chcesz piec te ciastka? - spytał, mrugając oczami, jakby wiedział coś, o czym ona nie wiedziała.

- No pewnie - powiedziała pogodnie - a dlaczego miałabym nie chcieć?

W trzy godziny później Carole rozumiała już, skąd to pytanie, jak również wiedziała, dlaczego Chris zaoferował się, że przypilnuje Katy. Ledwie uszła z życiem z walki, jaka wybuchła o foremki do ciastek, i o wszystkie przyniesione przez nią rzeczy. Nie mówiąc już o konieczności opędzania się od papugi. Na szczę-

ście od czasu do czasu Chris wsadzał głowę uciszając co gwałtowniejsze sprzeczki.

W osłupieniu patrzyła, jak Tad oblizuje maszynkę do dekorowania ciastek lukrem. Ostatecznie parę bakterii to nie tragedia. Mikę spokojnie wsypywał sobie do buzi czekoladowy groszek, nie myśląc w ogóle o dekoracji ciastek. Kto by się tym przejmował? Kończyli już ostatnią porcję. Pozostało już tylko posprzątać.

Carole potoczyła wzrokiem po kuchni, uniosła ręce do twarzy i jęknęła zrozpaczona. Kuchnia przypominała pobojuwisko! Stół, podłoga, twarze i ubrania - wszystko było upstrzone kolorowymi kropkami lukru. W powietrzu unosiła się mgiełka rozpylonej mąki osiadając cienką warstewką na wszystkim w promieniu półtora metra od stołu. Była i tak już wykończona, a tu miała jeszcze przed sobą gigantyczne sprzątanie!

- Nie jedz tego! - wrzasnął Brian do Tyny, która wydłubywała kolorowy groszek z polukrowanego na biało bałwanka.

- Ja to lubię - odparła Tina wrzucając sobie do buzi srebrną kulkę.

- Tina! Nie jedz tego, słyszałaś?! - wrzasnął Brian. - To jest z metalu! Tatusiu! - krzyczał idąc do drzwi.

- Proszę cię, wypluj to - powiedziała Carole uśmiechając się zachęcająco do małej. - To ci może zaszkodzić.

- Dobrze - Tina posłusznie wypluła kulkę na stół.

Carole automatycznie sięgnęła po papierowy ręcznik.

- Tina! - ryknął Chris stojąc w drzwiach z marsowym wyrazem twarzy.

- Ona już to wypluła - powiedziała Carole, zażegnując w ten sposób konflikt między ojcem a córką, który z pewnością zakończyłyby się łzami małej. Zauważyła już, że Tina jest bardzo wrażliwym dzieckiem.

- Ooo - Chris rozejrzał się po kuchni. - Nieźle! Wygląda, jakbyście rozegrali tu przed chwilą mecz rugby.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Carole, odgarniając włosy z twarzy.

- To nie twoja wina. - Podparł się pod boki i spojrzał na prawdziwych winowajców. - Jazda zmienić ubranie. Ja pomogę Carole.

- Jeszcze nie skończyliśmy! - krzyknął Tad.

- Owszem, skończyliście! Jazda, ale już!

Kiedy dzieci wyniosły się z kuchni, Carole opadła na krzesło.

- Próbowałem ci wytłumaczyć, że to będzie czyste szaleństwo - powiedział Chris, zwilżając papierowy ręcznik.

Carole spojrzała na niego.

- O ile sobie przypominam, spytałeś mnie, czy jestem pewna, że chcę to robić.

- No właśnie - powiedział, kucając przy niej.

- Co chcesz zrobić? - spytała, hamując odruch, by się odsunąć.

- Wyglądasz jak jedno z tych dzieci, tyle masz mąki na twarzy.

Uśmiechnęła się smętnie.

- Wyobrażam sobie.

Delikatnie przytrzymując jej brodę, Chris zaczął wycierać twarz Carole. Spuściła oczy, by ukryć przyjemność, jaką jej sprawiał jego dotyk.

- Masz przepiękną cerę - zauważył cicho, ścierając białą smugę koło jej ust. - I usta, jakich nigdy nie widziałem.

Pod wpływem tych słów Carole spojrzała na niego. Był tak blisko, że widziała ciemniejsze plamki na jego niebieskich tęczówkach. Za blisko! - powiedziało jej to łomoczące serce. Przełknęła nerwowo ślinę, gdy jego twarz zbliżyła się jeszcze bardziej. Zamierza ją pocałować! - pomyślała i ogarnęło ją podniecenie i strach.

- Hej, tato! - krzyknął Tad, wpadając przez wahadłowe drzwi.

- Co znowu? - warknął Chris, natychmiast zwiększając odległość między sobą a Carole o kilkadziesiąt centymetrów.

Tad stanął jak wryty.

- Całujesz ją?

- Nie - powiedział Chris podnosząc się - nie całuję jej. Ścieram jej z twarzy makę.

Tad uśmiechnął się.

- Tak, rzeczywiście okropnie to wyglądało.

- O co ci chodzi, Tad? - spytał Chris mobilizując całą swoją cierpliwość.

- Chciałbym wiedzieć, czy mógłbym dostać na gwiazdkę boa dusiciela. Lisa mówi, że się nie zgodzisz.

- I ma rację.

Po chwili dał się słyszeć płacz Tiny w living roomie.

- Ciekawe, co tam znowu? - warknął Chris, właściwie do siebie. Rzucił ręcznik papierowy na stół i ruszył do drzwi.

Carole westchnęła i wstała. Jedno było dla niej jasne: mimo wszystko sama będzie musiała posprzątać.

Czwartek, 15 grudnia

W czwartek wieczór Katy została z wynajętą opiekunką, a cały klan Nicholasów poszedł kołędować z zespołem kościelnym. Dołączyła do nich Carole, ale myślami była daleko. Rozpamiętywała sobotni pocałunek, do którego nie doszło, i wspólne sprzątanie bałaganu, w którym ostatecznie pomogli jej Chris i Lisa.

Oczywiście nie mogła nie zauważyć, że spędzała teraz z Christem i jego rodziną bardzo dużo czasu i że sprawiało jej to ogromną przyjemność. W poniedziałek wieczorem znowu poszli szukać sukienki dla Lisy, ale Brian miał przełożony mecz koszykówki, więc niewiele czasu spędzili razem. Carole odniosła wrażenie, że widziała żal w oczach Chrisa, kiedy się z nią żegnał. Cokolwiek jednak czuł Chris, wiedziała, że ona wpadła na dobre. To głupie. I śmieszne. Ale nie mogła nic na to poradzić.

- Dobrze się bawisz? - spytał Chris.

- W gruncie rzeczy tak. Przypomina mi to czasy, gdy byłem mała, w sierocińcu... - urwała uświadamiając sobie, że znowu znalazła w swojej przeszłości jakąś jedną szczęśliwą chwilę.

- No i co? - spytał.
- Chris, pojechałam z wizytą do Fairhope - wyznała pod wpływem impulsu.

Skinął głową bez zdziwienia.

- I jak się czułaś?
- Świetnie. Fantastycznie.

Jeszcze ciągle nie mogła uwierzyć, że tak to dobrze wyszło.

- Uświadomiłam sobie wiele rzeczy, kiedy tam byłam, między innymi, że tam wcale nie było tak źle. Przypomniałam sobie wiele miłych chwil i myślę, że ci ludzie naprawdę się o nas troszczyli.

Chris zamyślił się.

- Cieszę się, że tam pojechałaś. Uważam, że dobrze zrobiłaś. Był to krok odpowiedzialny, dojrzały. I myślę, że otwiera to dla ciebie nowy etap w życiu.

Carole też była tego zdania. Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

- I w tej sytuacji uważam, że mam prawo zadać ci jedno pytanie.

- Z pewnością. Jakie chcesz - powiedziała, zastanawiając się, o co mu chodzi.

- Zostałem zaproszony na przyjęcie w sobotę wieczorem. Obowiązują stroje wieczorowe i wezmą w nim udział różne grube ryby z kręgów politycznych.

- I ty byś chciał, żebym z tobą poszła, tak?

Skinął głową i wzruszył ramionami. Carole pomyślała, że to wygląda, jakby sam siebie nie był pewny - po raz pierwszy, od kiedy zna Chrisa Nicholasa.

- Zapraszam cię na randkę. Widziałaś dzieci, poznałaś moje życie z najgorszej strony. Skoro cię to do tej pory nie wystraszyło, to jest szansa, że cię nie wystraszy w przyszłości. - Odetchnął głęboko. - Co ty na to?

Skinęła głową przepełniona cichą radością.

- A ja na to, że tak.

Rozdział dziewiąty

Sobota, 17 grudnia

Suknia Carole była bez ramiączek, czarna, aksamitna i miała z tyłu pośrodku głębokie rozcięcie, które odsłaniało znaczną część nóg. Jej szczupłą sylwetkę opasywała szarfa z mory związana na lewym biodrze w wielką kokardę. Gładko zaczesane do tyłu włosy podtrzymywała na karku opaska z czarnych kwiatów z jedwabiu. Ta fryzura eksponowała jej brylantowe kolczyki; prócz nich nie miała na sobie żadnej biżuterii. Paznokcie Carole miała pomalowane jaskrawoczerwono i bił od niej zniewalający zapach opium.

Była gotowa do wyjścia pół godziny wcześniej.

I wykończona nerwowo.

Bal, który wydawał wybitny polityk stanowy, był doskonałą okazją do spotkania się dla elity towarzyskiej okolic Shreveport-Bossier. Krążyły nawet pogłoski, że weźmie w nim udział sam gubernator. Chris, zaprzyjaźniony z jednym z senatorów, został zaproszony w uznaniu bezcennej pracy, jaką wykonywał. Aczkolwiek psychologów od dawna już włączano do zespołów policyjnych, to ich szczególny wkład pracy dopiero ostatnio został zauważony i doceniony przez społeczeństwo.

Carole po raz dziesiąty sprawdziła makijaż zastanawiając się, o czym może rozmawiać z ludźmi, z którymi miała się dzisiaj spotkać. Gdyby nie było za późno, zadzwoniłaby do Chrisa i jakoś się wymówiła. Gdy spoglądała na zegarek, żeby sprawdzić, czy istnieje taka możliwość, zadzwonił dzwonek u drzwi. Rzuciwszy po raz ostatni okiem w lustro poszła powitać Chrisa.

Stał przed nią w czarnym doskonale skrojonym fraku, w którym wyglądał bardzo elegancko. Dlaczego, pomyślała trochę nieprzytomnie, uznała, że ten człowiek nie ma gustu? Sama by nie wybrała dla niego lepszego stroju. Zauważyła plisowany gors białej koszuli i owiał ją delikatny zapach wody marki Aramis.

- Jesteś piękna - rzekł Chris.

Jej wzrok sunął od jego piersi przez czarną muszkę, nieznaczny dołek w brodzie, usta i pięknie przyszczyżone wąsy i dalej do żywych, czułych, błękitnych oczu.

- Ty też nieźle wyglądasz - powiedziała bez tchu.

Chris uśmiechnął się lekko.

- Tym razem mój strój nie jest „nie do przyjęcia”?

Carole poczuła, jak ją oblewa rumieniec na wspomnienie tego, jak niegrzecznie potraktowała Chrisa, kiedy się poznali.

- Ciekawe, czy mi kiedyś pozwolisz o tym zapomnieć?

- Chyba nie - powiedział powstrzymując uśmiech. - Muszę coś mieć na swoją obronę, chociaż możesz to uważać za mało-
stkowe. Jesteś gotowa?

Carole skinęła głową zastanawiając się, po co mu ta obrona. Ale Chris nie zamierzał się z tego tłumaczyć.

- Chwileczkę - powiedziała - tylko coś na siebie narzuć.

Carole wsiadła do samochodu kombi i z głębokim westchnieniem rozparła się wygodnie na siedzeniu. Klub Obywatelski Bossier był zatłoczony i, ku swemu zdumieniu, wcale nie czuła się niezręcznie. Wiele osób okazało się stałymi klientami „Mężczyzny w Każdym Calu”. Wbrew obawom, że nie pasuje do tych ludzi, z przyjemnością słuchała, jak chwalą jej zmysł handlowy wyrażając wdzięczność za sprowadzenie do miasta odzieży wysokiej jakości, dzięki czemu wyjazdy na zakupy do Dallas przestały być konieczne.

Chris okazał się bardzo troskliwym partnerem: stale przynosił jej wino i zakąski. Żartował, mówił komplementy i był ogólnie czarujący.

Nie brakowało jej też partnerów do tańca, ale zawsze wołała, gdy był to Chris. Choć może jako tancerz nie dorównywał niektórym innym mężczyznom, to jednak przyjemność przebywania w jego ramionach była znacznie większa. Jego ramiona i ciche bicie serca przy uchu...

Pojechali do niej do domu w milczeniu, jakby się bali, że słowa zniweczą więź, jaka między nimi powstała. Carole wiedziała, że nadchodzi północ, i zastanawiała się, czy z wybiciem tej godziny nie zostanie, jak Kopciuszek, sama, tylko ze swymi wspomnieniami. Ni z tego, ni z owego przypomniała jej się uwaga Chrisa: „Muszę mieć coś na swoją obronę”...

Zanim doszli do drzwi mieszkania, Carole cisnęło się na usta wiele pytań. Czy powinna je zadać? - zastanawiała się. Czy Chris zamierza iść do domu? Mogłaby mu zaproponować kawę lub...

- Na obronę przed czym? - otwierając drzwi usłyszała swój głos.

- Przed tobą - powiedział swobodnie, z czego Carole wynioskowała, że i on myślał o tej sprawie.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, bała się nawet mieć nadzieję, że jest tak, jak oczekiwała. Zanim udało jej się zebrać siły i zadać drugie pytanie, Chris zdążył objąć jej nagie ramiona, wprowadzić Carole do mieszkania i postawić przed wiszącym nad kanapką lustrem.

- Spójrz na siebie - powiedział do jej odbicia. - Czy mężczyzna może nie dostać bzika na punkcie takiej dziewczyny jak ty?

Carole jednak nie patrzyła na swoje odbicie; patrzyła na wysokiego, potężnego, bardzo męskiego blondyna, którego widziała w srebrzystej tafli za sobą. Ich spojrzenia się skrzyżowały.

- A ty? - spytała drżącym głosem.

- Oczywiście, że dostałem - odparł ze swoim typowym rozbajającym uśmiechem, przesuwając dłonie od ramion Carole do jej łokci i z powrotem. - Co ty na to?

- Ja... ja nie wiem - odrzekła szczerze.

Obrócił ją ku sobie, ujął jej twarz w swoje wielkie ręce i pozwoli przytknąć wargi do jej ust. Te wargi były mocne, ale jednocześnie niewiarygodnie miękkie i ruchliwe. Przeszedł ją dreszcz i wyrwało jej się westchnienie, które zamarło, gdy usta Chrisa mocniej przyłgnęły do jej warg. Carole objęła go w pasie ramionami i przytuliła się do jego szerokiej piersi.

Rozkoszny dotyk jego ust rozniecił drzemiący w niej płomień pożądania, zaś muskanie jego wąsów jeszcze ten płomień podsycało. Jej piersi nabrzmiały, domagając się pieśczot, zaś sama Carole wewnątrz dosłownie płonęła. Była głodna dotyku mężczyzny - nie, dotyku Chrisa. Zbyt długo odmawiała swemu ciału i swemu sercu, a teraz gdy zakosztowały namiętności - teraz nie było odwrotu.

Raczej poczuła, niż usłyszała, jak się rozsuwa jej zamek błyskawiczny; poczuła na plecach gorące dłonie Chrisa. Potem jakimś dziwnym sposobem znalazła się na kanapce, a on koło niej; górna część jej sukni opadła, a piersi sterczały nagie w palącym płomieniu jego wzroku.

- Jesteś piękna - mruczał przykrywając dłonią jedną z białych pulsujących półkul. - Bardzo piękna. - Delikatnie pieścąc różowy twardy czubek jej piersi schylił głowę i ukrył go w gorącym wnętrzu swoich ust.

Carole w przystępie rozkoszy wygięła plecy, wczepiła palce w jego lśniące jasne włosy i przyciągnęła go do siebie. Pragnęła go. Boże, jak bardzo go kochała.

Chwila spełnienia przypominała zanurzenie się w strumieniu zimnej wody. Pożądanie zgasło. Napięcie spadło, a jej ledwo zakwitła miłość legła w chłodnych popiołach zadawnionych leków, że da mu wszystko, a on, gdy się nią znudzi, odejdzie jak każdy inny. Poczuła się zażenowana, odepchnęła jego ramiona usiłując usiąść i naciągając górną część sukni, by zakryć przed nim swą nagość.

- Carole? - Puścił ją i natychmiast się odsunął. - Co się stało?

Ponieważ nie chciała na niego patrzeć, ujął jej twarz w dłonie i zmusił, by na niego spojrzała. Jej oczy, mokre od łez, pociemniały z udreki.

- Przepraszam - szepnęła. - Ja... nie mogę.

Milczał przez dłuższą chwilę. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, było bicie jej własnego serca.

- Rozumiem - rzekł w końcu. - Wszystko popsujęm, dałem się ponieść. To znaczy, rzeczywiście nie znamy się zbyt długo, ale ja... - przerwał, jego usta wykrzywiły się w wymuszonym uśmiechu. - Mogę się tłumaczyć tylko tym, że mi bardzo zawróciłaś w głowie, moja pani. Przepraszam.

Carole zamknęła oczy i zacisnęła usta, żeby powstrzymać płacz. Czuła, jak jego usta delikatnie, niby muśnięcie piórka, dotykają jej ust, jak palcami dotyka jej wilgotnych warg, poczuła jego gorący oddech na twarzy, gdy mówił:

- Mamy czas. Mamy dość czasu, nie musimy się spieszyć.

Powiedz mi, że mnie kochasz! - krzyczało jej serce. - Bo może wcale nie musimy dłużej czekać.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego czując, jak bardzo ją to wszystko boli. Zastosowała się do jego rady. Otworzyła przed kimś serce i dała miłość - jemu. Ale może - przy odrobinie szczęścia - Chris się nigdy o tym nie dowie? Bo jeżeli się podda i pozwoli mu się kochać, to nie zdoła ukryć swoich uczuć. A jeżeli będzie z nim dłużej przebywać, to w żaden sposób mu się nie oprze.

Pozostawało tylko jedno.

- Czas nic tu nie pomoże, Chris - powiedziała cicho, podnosząc dumnie głowę.

Chris zareagował na to jak mężczyzna, nie jak psycholog. Zerwał się na równe nogi, złapał ją w ramiona i potrząsnął.

- Do cholery! Nigdy ci na to nie pozwolę! Zależy ci na mnie, czy tego chcesz, czy nie. Czuję to, kiedy cię całuję, i widzę to w twoich oczach.

- Może - zgodziła się - ale to minie. - Chyba po mojej śmierci, pomyślała, ale dodała: - Zawsze mija.

Chris, oszołomiony, opuścił ręce. Po prostu zatrzasnęła mu drzwi przed nosem; nie było sensu się upierać. Nie teraz. W żadnym razie. Nie teraz, gdy jego własne marzenia rozsypały się w pył.

- Żal mi cię, Carole. Mogłaś mieć życie pełne, bogate, wśród kochających cię ludzi, gdybyś tylko pozbyła się swoich lęków. Mimo tego, co o sobie myślisz, można cię bardzo kochać. Gdyby było inaczej, nigdy bym się w tobie nie zakochał.

Z tymi słowami przeszedł przez pokój i wyszedł z domu.

Słowa te jeszcze nie przebrzmiały, kiedy usłyszała warkot silnika jego samochodu. Powiedział, że ją kocha, a ona pozwoliła mu odejść. Carole uniosła drżącą rękę, by uciszyć łkanie wydobywające się z jej gardła, i ujrzała swoje odbicie w lustrze. Zobaczyła kobietę, której oczy pełne były łez, a włosy i makijaż w straszliwym nieładzie. Miłosnym...

Nie. Tak będzie lepiej - powtarzała sobie, a gorące łzy płynęły jej po policzkach. - Chris tylko myśli, że ją kocha, a to po prostu tylko burza hormonów. Dlaczego miałby ją kochać? Co mogłaby mu dać? Nie, lepiej teraz pocierpieć trochę, niż oddać mu się i skazać się na znacznie większe cierpienia - później.

Rozdział dziesiąty

Środa, 21 grudnia

Cztery dni po odejściu Chrisa okazały się dla Carole najdłuższymi, jakie przeżyła. Była nieprzyjemna dla klientów oraz dla personelu i ogólnie nieszczęśliwa. Tęskniła za dziećmi - za solidnością Briana, szczebiotem Lisy, kłótniami Tada z Dawidem, słodyczą Mike'a, urokiem Tiny i powagą Jake'a. Brakowało jej nawet płaczu Katy.

Ale najbardziej tęskniła za Chrisem.

Początkowo zastanawiała się, czy zadzwoni. Ostatecznie, czyż jej nie powiedział, że ją kocha? Nie odezwał się jednak. A ona w żaden sposób nie mogła zadzwonić do niego - w każdym razie nie po tym, co mu powiedziała.

Zbliżały się święta. Myślała, że w tym roku będzie inaczej; Chris zaprosił ją, by cały dzień spędziła z nimi, i Carole zdenerwowana, ale i wzruszona, każdemu kupiła prezent. Ostatecznie

wysłała im te paczki, ale nie miała żadnej wiadomości od klanu Nicholasów. Wszystko wskazywało na to, że jednak będą to takie same święta jak dawniej, spędzone w domu, samotnie. Przynajmniej z dala od całej tej wrzawy - pocieszała się Carole.

Wzięła jakiś elegancki magazyn poświęcony modzie. Miała nadzieję, że przestanie się rozczulać nad sobą, ale lektura wcale jej w tym nie pomagała. Dziś mieli przyjechać z Dallas rodzice Chrisa. Carole wyobrażała ich sobie, jak się śmieją, żartują, jak się ściskają. Niezadowolona z siebie, rzuciła magazyn na stół i wyciągnęła się na leżance. Może trochę odpocznie, może prześpi to popołudnie.

Otuliła się afgańskim kocem i zamknęła oczy. Miała nadzieję, że Chris nie odwiedzi jej ponownie we śnie, tym razem w charakterze ducha przyszłych świąt i że nie będzie jej mówić, jak samotne czekają lata. I to tylko dlatego, że boi się oddać mu serce. Nie potrzebuje, żeby jej ktoś pokazywał, jak smutna będzie jej przyszłość. Nie spodziewała się szczęścia ani przyjemności. Bardzo możliwe, że nie będzie i miłości.

Dzwonił telefon. Carole obudziła się i sięgnęła po słuchawkę.

- Halo.

- Czy to pani Carole Chapman? - Głos jakby znajomy.

- Tak, przy telefonie - powiedziała opierając się na łokciu. -

Kto mówi?

- Policja. Mówi Al Gibson.

Zamarła. Al Gibson! Co może chcieć od niej policjant, który ją przesłuchiwał w sprawie Katy?

- Słucham - powiedziała zmęczonym głosem. - Czym mogę panu służyć?

- Przed chwilą dzwonił tu Chris Nicholas i prosił, żebym porozumiał się z panią. Prosi, żeby pani do niego przyjechała, w miarę możliwości natychmiast.

- Dlaczego? - spytała, czując narastającą panikę. - Co się stało?

- Nie wiem - odparł policjant - Po prostu chciałem, żeby dopilnować, żeby pani przyjechała. Chodzi o któregoś z dzieci.

Serce Carole zamarło. Co się mogło stać? Lisa znowu chora? Czy któreś miało wypadek?

- Oczywiście. Zaraz jadę. Już. Dziękuję za telefon.

Minęło zaledwie pół godziny, gdy Carole, przekroczywszy uprzednio wszystkie ograniczenia prędkości, dotarła do posiadłości Chrisa. Zatrzęsła drzwi samochodu i wbiegła po schodach na ganek. Był zmierzch i gęsi z pewnością poszły już spać. Podniosła rękę, by zapukać do drzwi, ale zanim zdążyła to zrobić, drzwi otworzyły się i stanął przed nią Chris, wysoki, przystojny i czerstwy w jaskrawoczerwonej flanelowej koszuli.

- Co się dzieje? - spytała w pośpiechu. - Komuś się coś stało? Al Gibson powiedział, że mnie wzywasz, że chodzi o któregoś z dzieci.

Chris skinął głową, a serce Carole zaczęło tłuc się w piersi jak oszalałe.

Wziął ją za łokieć i wprowadził do środka, zamykając drzwi. Carole usłyszała dochodzącą skądś rozmowę i świąteczne kolędy, poczuła też zapach cynamonou.

- Które z nich? - spytała, z trudem przełykając ślinę. - Czy to Katy?

- Tak - powiedział Chris skinąwszy głową. - To Katy.

- Co się stało?

- I Tina-dodał.

- Tina?! - krzyknęła.

- I Tad, i Dawid, i Mike.

Przez chwilę Carole była zbyt zaskoczona, żeby cokolwiek powiedzieć. Potem zauważyła, że Chris jest zupełnie spokojny. Aż za spokojny. Gdyby coś się stało dzieciom, to czy nie byłby zdenerwowany?

- Chris - powiedziała cicho - o co chodzi? Al mówił...

- Wiem, co mówił Al. Bo sam mu to kazałem powiedzieć.

- Co?

- Cześć, Ca-role - rzekł Mike wchodząc do pokoju z wyciągniętymi rękami i szerokim uśmiechem na twarzy.

- Cześć, Mike - odpowiedziała Carole, ściskając go w rozgarzeniu. Spojrzała na Chrisa. - Chyba nic mu nie jest. Co się stało?

Zanim Chris zdołał odpowiedzieć, do pokoju wpadł Tad.

- Hej, tato, a jak obiecama... - Urwał na widok Carole. Odwrócił się, złożył dłonie w trąbkę i ryknął: - Hej, ludzie, jest Carole!

Dochodzące z oddali odgłosy rozmów ucichły i Carole usłyszała, że reszta dzieciarni pędzi do living roomu. Wpadły wszystkie po kolei, a za nimi weszła para życzliwie uśmiechniętych starszych ludzi.

- Tato. Mamo - rzekł Chris - przedstawiam wam Carole Chapman.

- Cześć, Carole - powiedział mężczyzna, który był bardzo podobny do Chrisa, i nieświadomie powtórzył dokładnie to, co powiedział Chris, gdy się spotkali po raz pierwszy.

- Dzień dobry, kochanie - powitała ją matka Chrisa - cieszymy się, że cię wreszcie możemy poznać.

Wreszcie?

- Dzień dobry - odpowiedziała lekko zakłopotana Carole i zwróciła się do Chrisa. - Chris...

- Wiem. Coś miało być nie w porządku. I jest. Z nami wszystkimi.

Objęła wzrokiem ich twarze. Wyglądali na zdrowych.

- Potrzebna mi jesteś, Carole - powiedział Chris. - Wszystkim nam jesteś potrzebna.

- Mam problemy z Kim - rzekł Brian. - Doprawdy nie rozumiem kobiet.

Carole posłała Chrisowi znaczące spojrzenie.

- A ja nie rozumiem mężczyzn.

- Chciałbym, żebyś mi pomogła wybrać prezent dla mojej mamy, jak znajdziesz chwilę czasu - powiedział Jake. - Nie wiem, co jej kupić.

- Chętnie ci pomogę, Jake - odparła Carole, mrugając oczami dla powstrzymania łez.

Zaczynała rozumieć, o co chodzi, i jej serce tak bardzo wzbierało miłością, że ledwie mogła to wytrzymać. Chris chciał jej pokazać, że stała się częścią ich życia, że jest im naprawdę potrzebna.

- Proszę cię, weź mnie na zakupy - dołączyła Lisa. - Tata wreszcie mi przywiózł tę straszną sukienkę, ale ja po prostu nie mogę jej włożyć! Kyle będzie rechotać.

Carole uśmiechnęła się przez łzy.

- Zwłaszcza, jak zobaczy garderobę waszego tatusia, tak, mogę to sobie wyobrazić - zdobyła się na żart. - Oczywiście, pójdziemy na zakupy.

- Siostra przysłała mi nowy program komputerowy - powiedział Dawid poprawiając okulary - ale nic z tego nie rozumiem. Czy możesz mi pomóc?

- Spróbuję. - Carole uśmiechnęła się.

- A ja potrzebuję kogoś, kto by przekonał tatę, że powinien mi kupić boa dusiciela - oznajmił Tad.

- Co to, to nie! - wykrzyknęła Carole razem ze wszystkimi.

- A ja się chcę przytulić - rzekł Mike, obejmując Carole.

- I ja też - dodała Tina, przepychając się do Carole, która wzięła ją na ręce. - I chcę mieć mamusię - dokończyła.

Z trudem przełykając ślinę Carole rzuciła Chrisowi jeszcze jedno spojrzenie, po czym uściśnęła Tinę i postawiła ją na podłodze.

W jego niebieskich oczach płonęła miłość - tym razem nie miała wątpliwości.

- A co z Katy? - spytała.

Uśmiechnął się, Carole kamień spadł z serca.

- Myślę, że wystarczy ją po prostu przewinać.

- A Chrisowi potrzebna jest żona, która sobie z tym wszystkim poradzi - podsumowała Doris Nicholas. - Odnoszę wrażenie, że jesteś chyba kandydatką.

Carole spojrzała ze zdumieniem na matkę Chrisa. Tak jak wszyscy w pokoju, uśmiechała się.

- To co o tym sadzisz, Carole? - spytał Chris, chwytając ją za ramiona i przyciągając do siebie.

- O czym mianowicie? - Carole chciała wyjaśnić sprawę do końca.

- Chcielibyśmy, żebyś się stała częścią naszej rodziny - odparł Chris. - I wcale nie mam na myśli adopcji.

Łzy trysnęły jej z oczu; zagryzła wargi, żeby powstrzymać płacz.

- Kochamy cię, Carole. Wyjdiesz za nas?

Raz jeszcze rozejrzała się po całym pokoju. Brian - problemy z dziewczynami, Lisa - problemy z chłopakami, Tad - prawdziwy łobuziak. I Mike ze swoim miłym uśmiechem. Będzie ciężko. Będzie trudno. Będzie wspaniale.

- Tak! - krzyknęła, śmiejąc się i otwierając do wszystkich ramiona. - Wyjdę za was!

Dzieciaki zaczęły się do niej pchać, śmiejąc się i krzyżąc, i domagając się uwagi. Nagle powietrze przeszły przeraźliwy gwizd i nastąpiła cisza.

- A co ze mną? - spytał Chris.

Carole rzuciła mu się w ramiona, a jego usta spoczęły na jej ustach obietnicą tak słodką jak przeszłość, która ją czekała.

- Ooo...

- Patrzcie!

- Hmm...

- Tatusiu!

- Tak trzymać, Chris!

- Dzieci... dzieci! Może byśmy tak poszli do kuchni i zostawili ich na chwilę samych. Chodź, Tad!

- Już!

- Idę...

- O, tak!

Drzwi zamknęły się za całą gromadką, a Chris i Carole zostali sami. Jego pocałunek nabrał mocy, a ręce zsunęły się na jej

biodra, przyciskając ją do tego, co tak dobitnie świadczyło o jego pożądaniu.

- Jutro? - spytał z rozpłomienionym wzrokiem.
- Jutro - obiecała, zanim jego głodne usta znalazły jej usta.
- Tak trzymać, Chris! - zaskrzeczała papuga na drzewku cytrynowym.

- Dziękuję ci, Sebastian - powiedział Chris.

Carole roześmiała się. Znalazła miłość. Swój dom. Serce. Miejsce, którego szukała przez całe życie. A przyprowadziło ją tu płaczące w żłobku maleństwo.